



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca na Wschodzie

ROK III Nr 28 (67)

NIEDZIELA 18 LIPCA 1943 R.

CENA 20 FLS

GEN. KAZIMIERZ SOSNKOWSKI WODZEM NACZELNYM POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH

O GENERALE SOSNKOWSKIM

Osoba nowego Wodza Naczelnego nie wywoła zdziwienia ani w Kraju, ani na emigracji, ani tym bardziej w wojsku. Przeciwnie, z chwilą zgonu gen. Sikorskiego wszystkie myśli i oczekiwania zwróciły się w sposób naturalny ku gen. Sosnkowskiemu i zdumienie wywołać by mogło jedynie jego dalsze niewyzyskanie w służbie Rzeczypospolitej.

„Obywatel Szeł” — najbliższy uczeń i współpracownik Józefa Piłsudskiego do znanych wspólnych kart pracy na najbardziej odpowiedzialnych stanowiskach w czasie poprzedniej wojny potrafił dodać znakomite karty w czasie kampanii wrześniowej. Jest też na pewno w tej chwili najpopularniejszym żołnierzem polskim.

Nie chcemy tu powtarzać szczegółów życiorysu, który podajemy na innym miejscu. Podkreślić jednak należy wyjątkową jedynotność tej postaci. Nie przestając ani na chwilę być i czuć się żołnierzem z krwi i kości, czującym własną odpowiedzialność za najwyższe dobro Rzeczypospolitej — całość jej granic, nie dał się nigdy wciągnąć do jakichkolwiek grupowych rozrywek politycznych, ale zarazem zajmował zbyt wysokie stanowiska i zbyt szeroko myślał sięgał, aby mógł nie interesować się polską racją stanu i jej potrzebami w zmieniającym układzie stosunków międzynarodowych. To też nawet w okresach, kiedy gen. Kazimierz Sosnkowski nie miał praktycznej możliwości oddziaływania czynnego na bieg wypadków, jego ciężar gatunkowy grał swoją rolę.

Osamotniony i milczący pozostawał gen. Sosnkowski wielką rezerwą narodu, kartą atutową nie zgraną, postacią o wyjątkowo powszechnym zaufaniu. Posiadał niewątpliwie wrogów — jak każdy człowiek obdarzony indywidualnością, ale nikt mu nie może zarzucić, by kiedykolwiek stawał jakiegokolwiek partykularyzmu, czy jakiegokolwiek doktryny ponad dobro Kraju. Dlatego, jak nikt inny, może być dla wszystkich Polaków po całym dziś świecie rozrzuconych, a przede wszystkim dla społeczeństwa w Polsce, istotnym wodzem w walce o wolną i potężną ojczyznę. Dlatego również, chociaż zajmuje stanowisko nie-polityczne, stanowi wielką gwarancję stałości, niezależności, męskości naszej polityki.

Każdy wie, że „Obywatel Szeł” przejął od Komendanta zasadę walki nawet w pozornie najtrudniejszych okolicznościach aż do zwycięskiego końca. Człowiek, który jeszcze ze skromną garścią otoczonych przez dwie wrogie armie, zmęczonych ludzi potrafił nie złożyć broni, wykazywać zwycięską inicjatywę, a wreszcie przebiec sobie drogę do dalszej pracy wojennej, daje pewność, że nie będzie zaniedbany żaden wysiłek, któryby prowadził do zwiększenia naszej mocy, naszej zdolności wypełnienia zadań.

Żołnierz polski na Wschodzie oczekuje na rozkazy. Wypełni je, jak każdy dobry żołnierz wykonywuje rozkazy wodza.



Gen. Sosnkowski w rozmowie z gen. Sikorskim. Zdjęcie z okresu paryskiego, z października 1939 r.

NACZELNY WÓDZ GEN. BRONISŁAW KAZIMIERZ SOSNKOWSKI
LONDYN
Całym naszym otwartym sercem i żołnierskim z radością witamy nominację Pana Generała i zapewniamy, że w czekającym nas krwawym marszu do Polski nie zawiedzimy.

DOWÓDCA A. P. W. GEN. ANDERS
Obejmując Naczelne Dowództwo, słę żołnierskie pozdrowienia Panu Generałowi i Wszystkim Jego podkomendnym.
Dowiaduję się od Ministra Romera o niezwykle dodatniej ocenie, dokonanej przez ś. p. gen. Sikorskiego podczas ostatniej inspekcji Armii Polskiej na Wschodzie.
Zyczę Panu Generałowi dalszych postępów w pracy nad przygotowaniem bojowym oddziałów na drogę do Polski.

Ostatnia depesza ś. p. gen. Sikorskiego

DOWÓDCA A. P. W. GEN. ANDERS

Dziękuję serdecznie Panu Generałowi i żołnierzom A. P. W. za waszą pamięć i zapewnienia dalszej ofiarnej służby dla Ojczyzny, przesyłam Mu równie szczere życzenia imienninowe.

SALUS REIPUBLICAE SUPREMA LEX

DOBRO RZECZYPOSPOLITEJ NAJWYŻSZYM PRAWEM

Spełnimy swój obowiązek do końca w nieubłaganej wojnie z niemieckim wrogiem, mordercą naszych najbliższych, łupieżcą naszej kultury narodowej. Ale nikt od nas wymagać nie może, byśmy niezaprzeczone prawa nasze poświęcić mieli dla cudzych interesów czy też cudzej racji stanu. My, Polacy, drogę naszą wybraliśmy oddawna, a wkroczyliśmy na nią bez wahania 1 września 1939 r. z pełną wiarą w ideały demokracji, ufając bez zastrzeżeń słowu wielkiego i rycerskiego narodu, twórcy i wyznawcy szlachetnej zasady „fair play”.

Gen. Kazimierz Sosnkowski

Z przemówienia o J. Piłsudskim, wygłoszonego w Londynie 20.III.43 r.

Pragnąc otrzymać nieco szczegółów o życiu i działalności Naczelnego Wodza gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego, zwróciliśmy się do p. dypl. K. W., który przez szereg lat przed wojną był jednym z najbliższych współpracowników Generała i odbył z nim całą kampanię 1939 r.

— Kiedy pan pułkownik spotkał się po raz pierwszy z dzisiejszym Wodzem Naczelnym?
— Trudno mówić o „spotkaniu się”. Pierwszy raz widziałem dzisiejszego Naczelnego Wodza 13 sierpnia 1914 r. gdy gen. Sosnkowski, „Obywatel Szeł” jak go wówczas nazywaliśmy, dowodził w zastępstwie Komendanta w czasie pierwszego boju Legionów pod Kielcami. Byłem wtedy kaptałem w 2 kompanii kadrowej.

— Czy pan pułkownik może podać nam kilka szczegółów biograficznych z życia Wodza Naczelnego?

— Generał Sosnkowski ma dziś 58 lat. Rodzina jego pochodzi ze Żmudzi. Przed wojną studiował w Warszawie i na politechnice we Lwowie pracując bardzo czynnie na kierowniczych stanowiskach w organizacjach niepodległościowych. Na wojnę w roku 1914 wyruszył jako podpułkownik i szef sztabu I brygady Legionów. W tym charakterze był też stałym i najbliższym współpracownikiem i zastępcą Komendanta Piłsudskiego. O autorytecie, powadze i zaufaniu, jakimi się cieszył u Komendanta i wśród żołnierzy I brygady może panu wiele powiedzieć każdy z b. legionistów. W zastępstwie Piłsudskiego dowodził brygadą w niejednym boju legionowym. Już mówiłem o bitwie pod Kielcami w sierpniu 1914 r. Wspomnieć należy jeszcze Łowcówek w grudniu 1914 r. i bitwę pod Kołkami na Wołyniu w r. 1915.

W r. 1917 gen. Sosnkowski zostaje aresztowany przez Niemców razem z Komendantem za odmowę przeprowadzenia rekrutacji.

— Co pan pułkownik może powiedzieć o działalności gen. Sosnkowskiego w niepodległej Polsce?

— Dnia 10 listopada 1918 r. Sosnkowski zwolniony przez Niemców razem z Komendantem przybywa równocześnie z Nim do Warszawy. Mianowany generałem, obejmuje stanowisko wiceministra spraw wojskowych, później dowodzi armią rezerwową a w okresie ofensywy sowieckiej i naszej kontrofensywy jest ministrem spraw wojskowych.

— Panie pułkowniku, gdzieś w roku 1928 byłem w Paryżu na oddziale generała Weygand'a o kampanii polsko-sowieckiej z 1920 r. Gen. Weygand, który zresztą wcale nie przypisywał sobie specjalnych zasług w odniesieniu zwycięstwa, podkreślał wówczas, że jednym z tych, którzy się do zwycięstwa w sierpniu 1920 roku w sposób decydujący przyczynili, był gen. Sosnkowski.

— Zupełnie słusznie. Jako minister spraw wojskowych, kierował bowiem gen. Sosnkowski niezmiernie trudną sprawą organizacji, wyposażenia (Dalszy ciąg na str. 4)

CZY WSPÓLNOTA ANGLJO-AMERYKAŃSKA?

Przemawiając ostatnio w Londynie premier Churchill w dłuższym wywodzie tłumaczył, że od polityki Ameryki i Wielkiej Brytanii zależy najbliższa przyszłość świata. Jeżeli oba kraje będą szły, a w razie potrzeby maszerowały razem i w zgodzie z tymi pojęciami, jakie zrodziły narody anglo-saskie i o których mówi Karta Atlantycka, wszystko ujdzie się pomyślnie. Jeżeli pójdą swoimi drogami — nie będzie końca i granic nieszczęściom oraz zamętowi, który wyciśnie znamie na współczesnej cywilizacji. Kładąc nacisk na konieczność współdziałania anglo-amerykańskiego premier zapewniał że Wielka Brytania nie odczuwa żadnej zawiści w stosunku do Stanów Zjednoczonych. Oba kraje muszą pamiętać, że tylko w wypadku swego współdziałania pomogą wszystkim innym narodom dopłynąć do swoich portów, lecz jeżeli rozdzieli się, „wszystko zacznie na długo chwiać się i szaleć na ciemnych i burzą miotanych morzach”.

W tak patetycznych słowach premier Churchill poruszył sprawę stosunków anglo-amerykańskich jako jedno z najbardziej kapitalnych zagadnień wojny obecnej i przyszłego pokoju. Stany Zjednoczone i Wielka Brytania są już po raz drugi w tym stuleciu związane przymierzem, którego do zwykłych koalicji wojennych nie można zaliczać. Przystępując w roku 1939 do wojny Wielka Brytania miała poparcie moralne Stanów Zjednoczonych. Poparcie to zaczęło szybko przekształcać się we wzrastającą pomoc materialną i w raz się nastąpiło — jeszcze przed przystąpieniem Stanów Zjednoczonych do wojny — we wspólnym podpisaniu Karty Atlantyckiej jako anglo-saskiego kodeksu celów wojny. Wreszcie, po napaści Japonii na Pearl-Harbour, siły zbrojne Stanów Zjednoczonych stanęły obok brytyjskich do walki z wspólnymi wrogami. Współdziałanie anglo-amerykańskie wyraża się obecnie choćby w obecności wojsk amerykańskich w Wielkiej Brytanii i w nieustannym kontakcie kierowników politycznych oraz dowódców wojskowych obu krajów. Obóz sprzymierzonych nie posiada Najwyższej Rady Wojennej, ale istnieje już wspólne dowództwo anglo-amerykańskie, na razie w Afryce północnej. W pierwszym półroczu tego roku, nie mówiąc o nieprzerwanych spotkaniach różnych innych osobistości, odbyła się konferencja anglo-amerykańska w Casablance, a następnie do Ameryki udawali się kolejno pp. Eden i Churchill.

Obserwując te fakty można by mniemać, że stosunkom anglo-amerykańskim nie grozi i że oba mocarstwa anglo-saskie są nawet na najlepszej drodze do zlania się lub sfederowania. W książce „Jeden naród anglo-amerykański” autor C. I. Lin wysunął konkretny projekt takiej federacji, do której w Europie przylączyłaby się Norwegia i Holandia, przy czym Wielka Brytania sfederowałaby się ponadto z imperium francuskim. Być może, że ewolucja istotnie zmierza w kierunku powrotu do jednolitości anglo-saskiej, zburoznej swego czasu wyodrębnieniem się Stanów Zjednoczonych. Powstanie zbudowane na światową skalę federacji opierającej się o dwustumilionową masę ludzi mówiących po angielsku stanowiłoby nieomalą rewolucję w stosunkach międzyrodowych i byłoby najciekawszym

i najdonioślejszym następstwem tej wojny. Pasjonujący ten temat wymaga jednak ostrożnego traktowania, zwłaszcza że nie można ukrywać trudności psychologicznych oraz politycznych, które trzeba by poprzedzić pokonać. W polityce rzeczy, które wydają się proste, nie zawsze są łatwe do przeprowadzenia.

Pamięć, że Stany Zjednoczone były kiedyś kolonią brytyjską zbudowaną przeciw macierzy nie obciąża już współczesnego myślenia politycznego. Imię Waszyngtona jest czczone również w Anglii, a dynastia brytyjska darzona jest w Ameryce popularnością i szacunkiem. Wspólnota języka, węzłów krwi oraz interesów w wielu zasadniczych sprawach okazały się silniejsze od wspomnianych walk i burz.

Faktem jednak jest, że dawna kolonia rozrosła się dziś do wielkiego mocarstwa, które w zakresie swego dobytku, bogactw, możliwości, a dziś już i uzbrojenia zaczęło przesiągać macierzy imperium, które jednak wciąż jest pierwszym mocarstwem świata. Jeszcze przed poprzednią wojną światową Stany Zjednoczone były dłużnikiem Anglii, po tamtej wojnie, a również w wyniku obecnej stanęły się zapewne wyłącznym wierzycielem świata. Amerykańskie floty powietrzna i morska zajmują bodaj pierwsze miejsce na świecie. A wpływy Stanów Zjednoczonych, rościągające się na obie Ameryki i część Azji (Chiny), gotowe są przyćmić siły brytyjskie. Doktryna Monrogo, ograniczająca wpływy Stanów Zjednoczonych do obu Ameryk, staje się stopniowo zabytkiem muzealnym.

Wszystkie te porównania statystyczne nie miałyby znaczenia, gdyby jednocześnie nie zaczęły zachodzić w społeczeństwie amerykańskim ciekawe przemiany psychiczne i polityczne. Naród amerykański, dotychczas zamknięty w sobie, zaklepiony w izolacjonizmie, dorabiający się dolarów, budujący niebotyki, koleje, autostrady, wznoszący wielkie miasta i wielki przemysł, poczuł obecnie to, co nazwalibyśmy „wołą Bożą” i uznał się za powołany do naprawiania zła szerzącego się w istocie na całym niemal świecie. Czy można zresztą dziwić się powstaniu tej świadomości, skoro tyle narodów europejskich z Wielką Brytanią na czele nie przestawało zwracać się do Ameryki o pomoc, radę i wskazówki? Młody dynamizm amerykański, groźniona od lat prężność tego żywotnego i niewyżytego społeczeństwa, zapragnęły włączyć się obecnie w planach i przedsięwzięciach na skalę światową. Żołnierze amerykańscy zjawiają się dziś na tyłu frontach i na tyłu kontynentach, że znów trudno się dziwić powstaniu w społeczeństwie amerykańskim koncepcji politycznych, które obejmują cały świat. Są to najgłośniejsze idee wolnościowe, z a bicia zrewolucjonizowania i przekształcenia stosunków na kuli ziemskiej.

Do poprzedniej wojny Stany Zjednoczone przystąpiły raczej niechętnie i bez głębszego przekonania. Co prawda na gruncie amerykańskim powstała idea Lig. Narodów, ale Stany Zjednoczone, porzucając się tego dążenia nad Jeziorem Genewskim nie przystąpiły do niej, ponieważ powstawałoby losy niefortunnego chrakałki zapobiegliwości sceptycznej. W Brytanii i skołataną Fracją, są na zaś zamkniętą się w izolacjonizmie. Do obecnej wojny Stany Zjednoczone przystępują z pocz-

ciem spełniania pewnej misji, ze świadomością siły i roli, którą chcą odegrać. To jest wielka zmiana w stosunku do lat 1917—18, zmiana, która może mieć nieobliczalne następstwa.

Przemiany psychiczne w St. Zjednoczonych odbiły się już na stosunkach anglo-amerykańskich. Niektórzy Amerykanie skłonni są patrzeć na narody europejskie, a również na W. Brytanię, jak na społeczeństwa zacofane, zeszytwniałe w swoich tradycjach, obyczajach i przesądach. Imperium brytyjskie z jego dominiami i koloniami przedstawia się im niesłusznie niemal jak dziwaczny przeżytek. Niesłusznie, bo „przeżytek” okazał się żywotny i gotowy do poważnej przebudowy. Amerykanie ci szanują osobą króla angielskiego, ale nie pojmują instytucji monarchii, która wrosła w psychikę Anglików i stała się głównym zwornikiem wielkiego Imperium. Amerykanów dziwią lordowie, peruki dostojników brytyjskich i szereg innych objawów tradycjonalizmu, w którym Anglicy są rozmiłowani i który stanowi jeden z sekretów ich siły oraz wartości. Dla Anglików znowu Amerykanie z całym swym modernizmem i rozmaciem sprawiają nieraz wrażenie nie najlepiej ułożonych dzieci.

Z końcem ubiegłego roku rozwinęła się w Ameryce kampania, w której wziął udział człowiek tak głośny jak Wendell Willkie, były kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Krytykowała ona system kolonialny Imperium brytyjskiego, stosunki w Indiach itd. Kampania ta, podsycona uderzającą nietaktownością przez czynników nieodpowiedzialnych, wywołała reakcję w społeczeństwie brytyjskim. Nawet premier Churchill uznał za wskazane zabrać w tej sprawie głos, by dumnie oświadczyć, że nie po to został premierem Jego Królewskiej Mości, by stać się likwidatorem jego Imperium i że Imperium to, choć nie dąży do zysków terytorialnych w tej wojnie, nie zamierza również wyrzekać się niczego z tego, co posiadało w chwili jej rozpoczęcia. Stanowisko to w pełni rozumiemy, gdyż i Polska nie zamierza tracić w wyniku tej wojny niczego z tego, co posiadała przed jej wybuchem.

Polenika na temat struktury imperium brytyjskiego obecnie przychodzi, ale pozostał pewne ślady uczuciowe. Do tego dołączyły się konkretne fakty. Wskutek katastrofalnego upadku Singapuru i zatamania się pozycji brytyjskich na Dalekim Wschodzie, dwa dominia brytyjskie, Nowa Zelandia, a zwłaszcza Australia, zaczęły ogłądać się na pomoc amerykańską. Pomoc ta istotnie nadeszła. Amerykański generał MacArthur został głównodowodzącym na południowym Pacyfiku. Z faktu tego, jak i z coraz śmielejszej współpracy kanadyjsko-amerykańskiej niejedni zaczęli wysnuwać poglądy: wnioski. Tymczasem przywołanie tych trzech dominionów do korony brytyjskiej okazuje się nadal bardzo silne i wyraża się w stałej pomocy, której Wielka Brytania nie przedstawia od nich otrzymywać w najbliższych chwilach. Trzy kraje mają wyznaczoną przed sobą rolę łączników między dwoma wielkimi odłamami rasy anglo-saskiej.

Różnice temperamentów, większa w pryncypialność Amerykanów, wierzycych w swą misję historyczną lepszego i sprawiedliwszego urządnienia świata, tradycyjna giętkość Anglików, obdarzonych za to znacznym do-

świadczeniem politycznym, wszystko to prowadziło nieraz do odmiennych taktyk na różnych odcinkach. Jest publiczną tajemnicą, że jeśli chodzi o sprawy francuskie, Amerykanie popierali początkowo Darlana a później gen. Giraud, a Anglicy — gen. de Gaulle. Wiadomo również, że w stosunku do Rosji taktyka obu mocarstw nie była jednolita.

Anglia zawarła z Rosją przymierze dwudziestoletnie, które nie spotkało się w Ameryce z entuzjastycznym przyjęciem. Niektórzy Amerykanie zaczęli podejrzewać Anglików, że przedkładają przyjaźń z Moskwą nad przyjaźń z Waszyngtonem i że chcą przysłać równowagę Europy oprócz wyłącznie na sojuszu z Rosją sowiecką. W rezultacie Stany Zjednoczone formalnego przymierza z Rosją nie podpisały ograniczając się do przyjaznego współdziałania w czasie wojny. Obecnie zabiegają o wyświetlenie celów politycznych Moskwy i o uzyskanie od niej konkretnych zobowiązań. Stany Zjednoczone nie uznały dotychczas aneksji trzech państw bałtyckich, utrzymują stosunki z Finlandią, trwają przy zasadzie nieuznawania skutków przemocy i popierają ideę wolności na rodów. Stąd szczególnie silny i żywoty dla nas odgłos, jaki konflikty polsko-sowieckie znalazły na ogół na gruncie amerykańskim. Co więcej, Amerykanie niedwuznacznie dali do zrozumienia przez usta wiceprezydenta Wallace'a, że gdyby Rosja wkroczyła na drogę międzynarodowej rewolucji, doszłoby do wojny światowej nr 3.

Amerykanie obawiają się silnie anarchii w Europie w okresie zawalania się panowania niemieckiego, jak również wykorzystania tego zamętu przez czynniki rewolucyjne lub komunistyczne. Dlatego szukają przeciwwagi w różnych antykomunistycznych środowiskach Europy. Troška prowadził ich do oszczędzania przez długi czas rządu Vichy, a obecnie do popierania gen. Giraud, do faworyzowania księcia Ota na Habsburga jako kandydata do tronu Austrii, do utrzymywania stałego kontaktu z Watykanem, niezrażania sobie gen. Franco itd. Radykalne pismo brytyjskie „The New Statesman and Nation” zarzuciło z tego powodu amerykańskiemu ministrowi spraw zagranicznych Cordellowi Hallowi popieranie „międzynarodowej akcji”. To posłużyło do dalszych polemik, pilnie notowanych przez wrogów, którzy zaczęli obwieszczać triumfalnie, że Anglo-Sasi porzucają pierwotne cele wojenne wyrażone w Karcie Atlantyckiej i że w obliczu sprzymierzonych zaczynają brać górę nad ideałami anglo-saskimi zgolaiane oraz obecne pojęcia polityczne.

Mowa premiera Churchilla kładzie kres tej szkodliwej agitacji, wymierzonej w jednolitość sojuszników. Premier stwierdził, że warunkiem pomysłowości powojennej jest zachowanie i realizowanie tych pojęć, które zrodziły narody anglo-saskie i które stały się wyrazem przede wszystkim ich ducha. Mowa premiera Churchilla na rzecz j. d. anglo-amerykańskiej po niepokojującym okresie milczenia i zamętu ideowego jest dlatego źródłem znacznego optymizmu. Świadczy, że okoliczności, w których powstała Karta Atlantycka, są wciąż aktualne.

Sprawy anglo-amerykańskie przypominają mimo wszystko zastręgi dzielnicowe, istniejące w każdym

(Dalszy ciąg na str. 3)

POLKI LATAJĄ



Wielka BRITANIA

Stacja Air Transport Auxiliary — somewhere in England. Długie, jasne korytarze, wzdłuż których stoją szeregami szafki z nazwiskami i numerami pilotów. Wygodnie umeblovane, przestronne lounge. A przede wszystkim lotnisko — niby podobne, a jednak zupełnie inne od zwykłych lotnisk bojowych. Zamiast jednego typu maszyn, myśliwskich czy bombowych, jakie widuje się na poszczególnych stacjach bojowych, tutaj zebrane są typy najroznorodniejsze: zgrabne Spitfire'y czy Hurricane'y stoją sobie obok rozsiadłych na murawie jak wielkie polne Wellingtonów; monotonie ochronnego kamuflażu maszyn bojowych raz po raz przerywa jasna plama maszyn szkolnych. Inaczej trochę wyglądają piloci, co zamiast „air force blue” ubrani są w granatowe, „cywilne” wyglądające mundury. Ale prawdziwą różnicę widzi się dopiero wtedy, gdy ten czy inny w pięknie skrojone spodnie odziany pilot wyskoczy z Wellingtona, ściągnie haubę z głowy — i wesoło wstrząsając gestwą złotych loków, zdumionemu widzowi okaże, że to riewiasta na tym wielkim smoku sama jedna dzielnie lata! To nie żadna siłaczka z wyrobionymi bicepsami, żadna „legienka sienkiewiczowska, ale taka sobie właśnie nieduża, smukła, zgrabna panićka z kędziorem pod baubą, ale z ręką zręczną, myślą jasną i sercem odważnym.

TRZY PILOTKI

Przyznać muszę, że z wielką dumą patrzałam na trzy takie właśnie panićki, co sobie złotem na rękawach ślicznie wyhaftowały słowo „Poland” — Third Officer Anna Leska, Second Officer Barbara Wojtułanis i First Officer Jadwiga Piłsudska — polskie pilotki w A. T. A.

Zeby je wszystkie naraz, na jednej stacji zobaczyć, trzeba było trudu niełada. Każda ma przydział do innego lotniska, każda w innym kierunku po niebie brytyjskim szybuje, a przede wszystkim — z mojego osobistego doświadczenia sądząc, wszystkie trzy są ciągle w powietrzu, w przestrzeni. Ostatecznie po wielu nieudanych próbach zwró-

ciłam się o pomoc do komendantki Sekcji Kobiczej A. T. A., równie charming jak efficient Commander Pauliny Gowr i dzięki niej dopiero udało mi się ściągnąć na krótkie dwie godziny wszystkie trzy pilotki razem.

Siadamy w przyjemnym lounge'u i zaczynamy rozmowę. O dawnych czasach. Wszystkie trzy panie mają już za sobą karierę lotniczą w Polsce. Leska i Wojtułanisówna jeszcze przed wojną posiadały licencje na szybowce, maszyny silnikowe, balony; w sierpniu 1939 r. Barbara jako pierwsza lotniczka polska ukończyła z powodzeniem kurs akrobacji powietrznych. Jadwiga Piłsudska jeszcze jako pensjonarka zaczęła szkolić się na szybowcach. Otrzymała kategorię „D”, latała dużo na moto - szybowcach polskich typu „Bak”, a w jesieni 1939 r. niela przejść na szkolenie motorowe.

Alc zamiast tego, 1 września poszła z Panią Marszałkową i z siostrą swą Wandą przećwać na stacji ratunkowej dla ludności cywilnej na Pradze. Tego samego dnia Barbara Wojtułanis, Anka Leska i dwie inne pilotki polskie zostały wezwane do Dowództwa P. S. P. Przydzielono je do dywizjonów łączności, miały być zatrudnione przy przewożeniu meldunków, raportów i utrzymywaniu kontaktów między poszczególnymi grupami lotniczymi.

Patrzę na Barbarę. O jej doświadczeniach wojennych słyszałam już coś niecóż od jednego z lotników, który we wrześniu stał z dywizjonem swym w Dęblinie. Opowiadał mi, jak pewnego dnia przylecieli nad miasto Niemcy, rzucili bomby i odpędzeni przez naszych myśliwców, pozostawili za sobą pożary w mieście.

W niespełna dziesięć minut później, zanim jeszcze rozwinięto w pełni akcję ratunkową, zjawił się nad lotniskiem mały Erwudziak. Zakolował, rozglądając się rozszalałym za jakimś nieuszkodzonym miejscem do lądowania, potem zgrabnie usiadł na wąskim pasku między dwoma szeregami kraterów bombowych. Okazało się, że to panna Barbara przyleciała z meldunkiem.

Siedemnastego września wraz z innymi pilotkami Barbara i Anka prze-

prowadziły swe maszyny do Rumunii. Pilotów Internowano, im zaś udało się jakoś pozostać na wolności. Przez pewien czas uprawiali z powodzeniem zaszczytny przemysł sznugła, przewożąc do Czech internowanych ubrania cywilne i dokumenty dla lotników, którzy dzięki temu mogli wydestawiać się z Rumunii do Francji. Potem odsłarło je do Paryża; tam czekał na nie wielki zaszczyt — mianowanie na podporuczników lotnictwa czasu wojny.

O lataniu w ogóle nie mogło być mowy. Władze polskie były w tej sprawie bezradne, Francuzi nawet swym własnym pilotkom nie pozwalali latać, a A. T. A. ocemawiało przyjęcia cudzoziemców. „I miały miejsce — mówi Anka — zdarzało się, że jęstyn i ziemianie „for the duration”. Gdzieś w kwietniu czy maju Francuzi zaczęli mówić o zorganizowaniu własnego A.T.A., ale była to jeszcze jedna inicjatywa — spóźniona. Przyszła kampania francuska, ewakuacja — i znalazłyśmy się w Anglii. Nowe podania do A.T.A. nowe próby i prósy”.

ZNOWU LATAJĄ

Tym razem jednak A.T.A. okazało się skłonniejsze do pertrakcji. Po dłuższej, a z cierpliwością przez nasze lotniczki prowadzonej korespondencji, wezwano je na egzamin, który miał zdecydować ostatecznie o ich przyjęciu. Poraz pierwszy od półtora roku siadły do maszyn kilka startów, lądowań, wiryżu, spirali, skrętów i rezultat — obie przyjęte — wyniki: dobry i bardzo dobry.

Dzisiaj Leska pilotuje już ciężkie maszyny dwusilnikowe, jak Wellingtony, Wojtułanisówna (której kilkumiesięczna choreba opóźniła szkolenie), lata na Spitfire'ach, Hurricane'ach i kilku lepszych typach dwusilnikowych.

PANNA JAGA

— „A Pani?” — zwracam się do Jadwigi Piłsudskiej.

— „Ja narazie ferry'uję tylko maszyny łatwiejsze i szkolne. Hurricane'y i Spitfire'y należą jeszcze do przyszłości, choć mam nadzieję, niedalekiej” — odpowiada mi z uśmiechem. Jadwiga lub, jak już ją zaczyna znać brać lotniczka, „Jaga” Piłsudska jest nowicjuską w A.T.A.; przyjęto ją dopiero pół roku temu, po obniżeniu wymaganego od pilotów minimum wylatanych godzin. Po przybyciu do Anglii szturmowała długo bezskutecznie do A.T.A., lecz po szeregu grzecznych ale niezmiennie odmownych odpowiedzi musiała zrezygnować na razie z latania i wstąpiła na uniwersytet. Przez dwa lata studiowała architekturę w Cambridge; ze smutną zazdrością spoglądając w niebo, ile razy usłyszała dźwięk motoru. Czasami w samolotach, które przelatywały nad miastem, były pewno i pilotki w granatowych mundurach A.T.A.! — Jaga czekała cierpliwie, aż pewnego dnia i ona otrzymała przyjemny, dawno upragniony list. I znowu — formalności — próba latania — sukces, i do A.T.A. przybył nowy pilot — bardziej przyszłości, młodzieńki, pełen radości i zapału.

O A.T.A. wszystkie trzy lotniczki wyrażają się z zapałem. Praca sama jest może dość ciężka; to często po odstąpieniu naszyn trzeba godzinami czekać na transport powrotny do bazy. Często trzeba nocować poza domem — jeżeli nagle czy defekt silnika zatrzyma pilotkę na obcym lotnisku. Ale trudy te wyrównuje atmosfera przyjaźni i koleżeństwa jaka panuje na wszystkich stacjach A.T.A., gdzie każdy czuje się u siebie w domu, a wynagradza wielokrotnie radość latania.

„I nasza praca jest tak różnorodna — ciągle lata się gdzieindziej, ciągle na innych maszynach” — dorzucza Barbara. „Tyle jest w tym niespożycianek i nieoczekiwanych zdarzeń”.

O takim jednym zdarzeniu opowiada mi Leska. Odprowadzała Wellingtona na jakieś odległe lotnisko. Przez całą drogę pogodę miała doskonałą, ale właśnie nad samym lotniskiem wpadła w chmurę. Zaczęła krążyć w kółko, szukając jakiejś dziury, ale bezskutecznie. Wszędzie dookola, szara wilgotna wata. W żaden sposób się wydostać. Nagle przy jakimś wirażu rzuciła jej się w oczy pokryta zielenią ziemia. Lotniskol „Pamiętam, że bardzo byłam tego dnia zadowolona, wydostając się z maszyny i czując grunt pod nogami. Do tego stopnia, że nie zwróciłam nawet specjalnej uwagi na niesłychanie gorące i serdeczne objawy radości, z jakimi witali mnie pełniący na lotnisku tym służbę dwaj starsi Angliści. Okazało się, że czekali oni na mnie, a potem słyszeli dźwięk motoru w chmurach i naturalnie — byli „very worried”. Kiedy wysiadłam, a zwłaszcza, kiedy dowiedzieli się, że jestem Polką, urządzili mi prawdziwą owację”.

„Wogóle ta naszywka „Poland” na rękawach jest źródłem wielu objawów serdeczności i przyjaźni jakich doznajemy — odzywa się Barbara. — Naprzykład na lotniskach amerykańskich, gdzie przecież jest tylu Polaków wśród personelu. Kilka tygodni temu wyładowałam z powodu defektu silnika na jednym z takich lotnisk. Amerykanie przyjęli mnie ze zwykłą gościnnością, ale specjalnie zwrócili uwagę na jednego z mechaników, młodego chłopaka o płowych włosach. Chodził on niby koło mojej maszyny, ale cały czas przyglądał się mnie i uśmiechał. Podeszłam do niego zdziwiona. — Okazało się, że to właśnie jeden z rodaków z Ameryki. Przyjechał do Anglii przed kilku miesiącami i tak się jakoś złożyło, że przez cały czas ani nie widział Polaków, ani nie rozmawiał po polsku. O tym, że są Polki lotniczki, a zwłaszcza, że latają w W. Brytanii, w ogóle nie wiedział. Aż mu — jak się sam wyraził — jedna wprost z nieba spadła! Chłopak poczciwy sam nie wiedział co zrobić, żeby rnie jak najlepiej przyjąć!”

WSZĘDZIE DOBRZE, NA POLSKICH LOTNISKACH NAJLEPIEJ

Przyjemność specjalną i osobnej kategorii stanowią dla naszych pilotek loty na lotniska polskie. Nie tylko, że czeka je tam zawsze serdeczne i ciepłe przywitanie od kolegów (ciąg dalszy na str. 4)

Czy wspólnota anglo-amerykańska?

(Dokończenie ze str. 2)

narodzie, a które również zatrudwały nam życie w pierwszych latach niepodległości. Straszliwe zmagania, które prowadzimy, wykażaly ich blahość i dezaktualizowały je najupełniej. Ciężka walka z potężnymi wrogami, która czeka wciąż jeszcze narody anglo-saskie, powinna prowadzić do coraz ściślejszej wspólnoty anglo-amerykańskiej, która być może da początek nowej erze cywilizacji, erze narodów „mówiących po angielsku”. Powodzenie tego domnięganego procesu, jednego z największych w historii, nie będzie wszakże ani łatwe, ani proste i zrodzi wiele zawiłych zagadnień. Sukces zależy będzie od tego, czy świadomości jednolitej, poczucie niebezpieczeństwa grożącego Anglosasom w Europie i Azji i odpowiedzialności za losy cywilizacji okazały się silniejsze od różnic

ustrojowych, obyczajowych oraz rywalizacji gospodarczych, negujących dzielcie oba mocarstwa.

Nikt jednak może nie przytwierdzić tak silnie słowom premiera Churchill'a o katastrofach, które spadłyby na świat w razie rozjęcia się dróg Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, jak Polacy. Pragnieniami budowa naszą wolność własnymi siłami — bez względu na taki czy inny układ międzynarodowy — ale każdy rozumie, jak nieociecione znaczenie dla tej budowy miałyby solidarności anglo-amerykańskie nie tylko w tej wojnie, nie tylko na konferencji pokojowej, ale i w przyszłości, zagrożonej tytuł jeszcze niebezpieczeństwami. Dlatego wszelkie objawy zbliżenia anglo-amerykańskiego przyjmować będziemy z prawdziwym zadowoleniem.

Arp.

O GENERALE SOSNKOWSKIM

(Dalszy ciąg ze str. 1)

zenia i zaopatrzenia wojska. Wojenna produkcja krajowa nie istniała, wszystko trzeba było dowieźć z zewnątrz. Tymczasem tranzytu przez Niemcy nie mieliśmy. Czasi urządzili formalny sabotaż, a gdańscy robotnicy portowi strajkowali. Trzeba było przetrwać te trudności, trzeba było z kraju zniszczonego długotrwałą wojną wydobyc niezbędne środki żywnościowe. Trzeba było organizować coraz to nowe jednostki. To wszystko było zadaniem gen. Sosnkowskiego.

— A po wojnie?

— Po wojnie gen. Sosnkowski jest z krótkimi przerwami do 1924 r. ministrem spraw wojskowych tworząc podstawy pokojowej organizacji wojska polskiego. Kładzie szczególnie duży nacisk na własną produkcję uzbrojenia. Koncepcja COPU została zainicjowana i rozpracowana przez gen. Sosnkowskiego jako ministra spraw wojskowych jeszcze w 1922 i 1923 roku. Realizacja tego programu nastąpiła jednak, niestety, z ogromnym opóźnieniem. W latach 1924—26 gen. Sosnkowski jest dowódcą O. K. w Poznaniu, a następnie aż do wybuchu wojny — inspektorem armii.

— Od kiedy datuje się ściślejsza współpraca pana pułkownika z dzisiejszym Wodzem Naczelnym?

— Został przydzielony do generala Sosnkowskiego jako jego oficer sztabu w 1935 r. już po śmierci Marszałka i pozostawał przy nim do końca działań wojennych w Polsce w 1939 r.

— Jaki był zakres prac gen. Sosnkowskiego jako inspektora armii?

— Do 1935 r. tj. do śmierci Marszałka Piłsudskiego, dość znaczny. Był on wtedy jako najstarszy spośród inspektorów armii zastępcą Marszałka w Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych. Opracował wówczas pięcioletni plan uzbrojenia i modernizacji armii, którego jednak wykonanie zostało opóźnione ze względów budżetowych.

— Dużo i z głęboką troską mówił się w Polsce w latach przed 1939 r. na temat systematycznego odsuwania gen. Sosnkowskiego od biegu spraw państwowych i stałego umniejszania jego wpływów. Jakże były tego przyczyny?

— Różne Przed wszystkim działaniem to dlatego, że gen. Sosnkowski uważał, że po 1935 roku nie realizowano testamentu Marszałka Piłsudskiego. Faktem jest, że w ostatnich latach przed wojną gen. Sosnkowski, poza swym ścisłym odcinkiem pracy, żadnego wpływu na sprawy państwowe a nawet i wojskowe nie posiadał.

— Jaki przydział otrzymał gen. Sosnkowski w wojnie 1939 roku?

— Początkowo nie przewidziano dlań żadnego stanowiska. Wobec tego, w drugim dniu wojny gen. Sosnkowski zgłosił się do ówczesnego Wodza Naczelnego marsz. Smigłego Rydza z prośbą o użycie go do jakichkolwiek zadań bojowych. Marsz. Smigły Rydz polecił mu na zajątr rano udać się do Małopolski celem zapoznania się z sytuacją i złożenia meldunku. Przed wyjazdem gen. Sosnkowski jest jeszcze raz u Nacz. Wodza. Sytuacja na frontach kształtuje się już wówczas poważnie. W tych warunkach gen. Sosnkowski zwraca Nacz. Wodzowi uwagę na konieczność jaknajrępiej organizacji obrony Warszawy.

5 września gen. Sosnkowski wraca do Warszawy i składa Nacz. Wodzowi raport z sytuacji na odcinku armii „Karpaty” (gen. Fabrycy) i „Kraaków” (gen. Zygling). Po raz wtóry gen. Sosnkowski zwraca wtemczas uwagę na konieczność przesunięcia odwodów Nacz. Wodza poza lewe skrzydło na front południowy, by sobie zabezpieczyć komunikację z Węgrami i Rumunią.

Tego samego dnia, tj. 5 września gen. Sosnkowski prosi o powierzenie mu zadania obrony Warszawy. Niemcy byli wtedy już blisko, a w stolicy nic jeszcze względnie b. mało w tej sprawie nie było zrobione.

6 września Nacz. Wódz zlecił gen. Sosnkowskiemu, aby ten udał się do Brześcia w charakterze zastępcy Nacz. Wodza na czas przesuwania kwatery Nacz. Wodza z Warszawy do Brześcia. Przed wyjazdem gen. Sosnkowski miał jeszcze skontrolować przygotowania do obrony Warszawy. Gdy w dniu 6 września o godz. 8.30 wieczór gen. Sosnkowski przybył do kwatery dopiero co mianowanego dowódcy obrony Warszawy, gen.

Czumu, stwierdził, że żadnych zasadniczych prac jeszcze nie wszczęto.

Wówczas na rozkaz gen. Sosnkowskiego zarządono odprawę, na którą wezwano: d-cc O. K. Warszawa gen. Trojanowski i prezydenta Miasta Stefana Starzyńskiego. Na tej odprawie gen. Sosnkowski wydał najpotrzebniejsze zarządzenia, aby Warszawę możliwie szybko postawić w stan chociażby najprzymiwniejszej sytuacji obronnej. Nadejścia Niemców oczekiwano bowiem już na drugi dzień rano.

Ustalono, że gen. Trojanowski dostarczy sprzętu i instruktorów saperkich, a prez. Starzyński wezwie ludność przez radio, aby natychmiast zgłaszała się na miejsca ustalone przez gen. Czumę dla budowy barrykad, schronów, umocnień obronnych oraz zapór przeciwczołgowych.

Wówczas prezydent Starzyński zawiadomił gen. Sosnkowskiego, że jako major rezerwy otrzymał rozkaz stawienia się w jednym z pułków, dokąd nazajutrz, tj. 7 września wyjeżdża zdając funkcje prezydenta swemu zastępcy. Gen. Sosnkowski uświadomił wtemczas rozkaz mobilizacyjny prezydenta Starzyńskiego nakazując mu zostać na posterunku, który uważał za ważniejszy.

— Czyli panie pułkowniku, gdyby nie ten rozkaz gen. Sosnkowskiego, nie mielibyśmy w Warszawie, w czasie oblężenia, Starzyńskiego i...

— No tak. Rano 7 września, przed wyjazdem do Brześcia, gen. Sosnkowski ustalił jeszcze z gen. Czumą ogólny plan taktyczny obrony Warszawy.

— Na czym polegała działalność gen. Sosnkowskiego, jako czasowego zastępcy Wodza Naczelnego w Brześciu?

— Trwała ona bardzo niedługo, gdyż już w kilkanaście godzin przybył tam marszałek Smigły Rydz. Tym niemniej w tym czasie gen. Sosnkowski zdążył przy pomocy oficerów swego sztabu naszkicować nowy plan kampanii, niezbędny wobec pogarszania się w niespodziewanym tempie sytuacji wojennej. Dwie były wytyczne tego planu. Mianowicie: pierwsza — obrona honoru Armii Polskiej przez nieustępliwą obronę Warszawy, druga — możliwie długotrwałe przeciągnięcie walki na ziemiach Polski.

W związku z tym wojska pozostające na lewym brzegu Wisły (Armie gen. Kutrzeby i Bortnowskiego) miały się przenieść do Warszawy i rozszerzyć zasięg broniętego terenu, natomiast reszta wojsk miała się cofnąć na Zdniestrze, aby w oparciu o Rumunię i Węgry bronić się możliwie długo na linii rzek Strypy — Dniestr. Według ogólnych ówczesnych kalkulacji można było jeszcze ściągnąć na Zdniestrze około 15 wielkich jednostek pod warunkiem, że Lwów będzie się bronił do 21 września. Reszta wojsk, które nie mogły się dostać do Warszawy względnie na Zdniestrze, miały przejść na tak zwaną małą wojnę i operować luźnymi grupami, jak długo się da. Ze ten rodzaj prowadzenia wojny może dać wyniki, udowodniła później akcja gen. Franciszka Kleeberga. Plan powyższy został przyjęty i zatwierdzony przez Nacz. Wodza.

— A czy i kiedy został wprowadzony w życie?

— Nie wiem... Wydaje mi się że główną przeszkodą w jego realizacji było wkroczenie wojsk sowieckich.

— Jakże były dalsze losy gen. Sosnkowskiego w tej wojnie?

— W dniu 8 września Nacz. Wódz zlecił gen. Sosnkowskiemu wyjazd do armii „Karpaty”, która znajdowała się w rejonie Przemysła. Gen. Sosnkowski miał się tam udać w charakterze obserwatora nie mając sam żadnych kompetencji dowódczych.

9 września gen. Sosnkowski przybył do m. p. armii „Karpaty”, którym był fort Siedlisko pod Przemysłem. Tam po zapoznaniu się z sytuacją gen. Sosnkowski wystąpił do d-ccy armii, gen. Fabrycego, z pewnymi sugestiami, które ten jednak niestety nie zupełnie uwzględnił.

10 września gen. Fabrycy wyjechał do Lwowa. Gen. Sosnkowski pozostał jeszcze kilka godzin w Siedliskach, jednak w związku z pogarszającą się z każdą godziną sytuacją również wieczorem tegoż dnia wyruszył do Lwowa, by złożyć Nacz. Wodzowi meldunek o sytuacji.

O godz. 1 w nocy z 10 na 11 skladał aparatem Hughes'a meldunek gen. Sosnkowskiego dla Naczelnego Wodza. Meldunek odbierał zmarły niedawno w katastrofie z gen. Sikorskim jego szef sztabu — gen. Klimecki, wówczas jako pułkownik, oficer sztabu marszałka Smigłego Rydza. W pewnej chwili podszedł do aparatu Naczelny Wódz i zażądał wezwania gen. Sosnkowskiego. Następnie w rozmowie z gen. Sosnkowskim Naczelny Wódz zlecił mu objęcie dowództwa nad frontem południowym.

(Dokończenie nastąpi)

zb. r.

POSZUKIWANIA

370. Adamowicz Konstanty (P. F. P. 551) poszukuje dzieci: syna Edmunda r. 1929 i córki Michalina r. ur. 1927, którzy przebywali w Teheranie w obozie Nr 1 u junaków.

371. Dr Lifschitz Maksymilian (Teheran, Referat Rodzin Wojskowych (P. F. P. 842 (2) — syna Leona, ur. w Krakowie 9 lipca 1923, strzelca 23 p. p.

372. Krzyżanowska Barbara (Teheran, Obóz Cyw. Nr 2 bl. 19) — kolegów szkolnych i znajomych z Wilna, Brześcia i Zurawicy. Sprawa bardzo ważna.

373. Ziemia Stanisław (P. F. M. E. 610) — Kotwy Stanisława, Heleny Michulki z matką i Póttoraka Mieczysława.

374. Gregorzuk Antoni (P. F. M. E. 610) — krewnych i znajomych z Kowla.

375. Początkówna Maria—Elżbieta z matką Teresą (Teheran, Obóz Cyw. Nr 1 — maszynistka) — siostry Zofii Poczubtowej, lat 30, więzionej w Grodnie w grudniu 1940 r., żony por. rez. Eugeniusza (prawnika) z pułku brzeskiego.

376. Janina Dziedzicowa (Teheran, O. U. P. 111, szafas 188) — męża Karola Dziedzica, ur. 1897 r. w Zbarażu, por. rez., aresztowanego 13 XII 39 r. we Lwowie.

377. Klimczak Fryderyk — Stefan (P. F. P. 552), współwłaściciel f. my Bielsko-Zaolziańskijskiej Spółki Motorzacyjnej w Bielsku — siostry Miłobraci Franciszka i Józefa Klimczaków oraz Rejentowej Pierchalskiej Janiny, inż. Augustynowicza Kazimierza, kapitanów Ostrowicza i Petlikowskiego, lotnika Klukowa Lucjana z „Iagrow” bałtycko-białomorski kombinat jak również Jadzki i Oliupii z Buchary.

Polki latają nad Wielką Brytanią

legów pilotów i od mechaników, co tym swoim latającym rodaczkom nieba by radzi przychylić. Nie tylko, że na kolację, czy obiad dostaje się świetne — prawdziwie polskie jedzenie. Przez cały czas słyszy się dookoła polski język. A wieczorem, po skończonych lotach w messach grają na płytach polskie melodie, zbierają się w messie piloci starszy przyjaciele, a często nawet instruktorzy naszych lotniczek z Polski — i mówi się o tym, co było, co jest — i co będzie.

Co będzie? — Pytanie to już dzisiaj zaprzęta głowy naszych lotniczek. Bo każda wprawdzie ma swoje plany osobiste, ale co będzie z lataniem? Czy nie zmarnuje się po wojnie wysokie przeszkolenie, jakie otrzymują dzisiaj w A. T. A.? Może zatrudni się już bezpośrednio po wojnie w akcji ratunkowej. A może, może później będą mogły pracować jako instruktorki — szkolić nowe pokolenia lotniczek polskich. Mają

w pamięci ostatnie lata przedwojenne w kraju, myślą o koleżankach swoich pilotkach czy szybowniczkach, które wtedy, jeszcze trzy lata temu, szkoliły się. Z tych setek szybowniczek, z tych dziesiątek pilotek tylko trzy dzisiaj latają. Ale tamte inne czekają, a dorobek przedwojenny Polek w lotnictwie nie może się przecież zmarnować!

Jak bardzo czekają, świadczyć może najlepiej pewien list, jaki niedawno nadszedł do Anglii ze Sr. Wschodu. Napisała go, do Barbary Wojtulanis, Marysia N. — jedna z najzdolniejszych pilotek polskich. Wywieziona do Rosji, przeżyła tam dwa lata. Mogłaby więc niewątpliwie powiedzieć w tym liście dużo i na różne tematy. Ale pisząc w pośpiechu tylko kilka mogła nakreślić słów. Więć napisała prosto — „Muszę latać”... — Bo to było widać dla niej najważniejsze.

Halina Tomaszewska



ROZPOZNANIU

Z nory w kącie, ostrożnie, bez zeszłobnie wybiegła maleńka ruda myszka. Świdrowała w koło ślepkami, chwila łapkami pyszczek i — skryła się za skrzynką amunicyjną. Po chwili krzątała się już śmieiej niepostrzeżenie, nie znalazła się na środku schronu, w miejscu, gdzie stało wieczko z nadrobionym befcem. Skosztowała łapczywie wojennego przysmaku i potoczyła większą część do nory. Niebawem zjawiła się znowu, za nią druga. Obie zajęły się magazynowaniem prowiantu.

„TOWARZYSZE”

Z ROWÓW STRZELECKICH

Plutonowy Gruda, zastygły w bezruchu, śledził bacznie pracę gryzoniów. Ciekawiła go i bawiła ich bojaźń i zabiegliwość. Niegdyś, kierowany uczuciem wstrętu, tepił je wszelkimi środkami, nawet wybuchowymi (wkładał do nor sponki granatów i podpałał je lontem) i tracił wiele wolnego czasu na „polowanie”. Dłuższe gnieźdzenie się po różnych rowach strzeleckich, schronach i innych pill box'ach przyczyniło go do natrętnych współmieszkańców. Odrazą ustąpiła miejsca obojętności, ta z kolei — zainteresowaniu. Zaniechał walki. Bezczynność — najcięższa praca, nuda, niepewność i osobliwość położenia uczyniły zeń sensata. Zajmował się obecnie drobnostkami, których niezdolny był nawet dostrzec przed kilkoma laty. Rzeczywistość, ograniczona workami piasku, czas, mierzony nieprzypiętymi silnikami, koncerty rozrywkowe dalekosiężnych instrumentów — całość usposabiała go do mizantropii. Mglisty bezsens wzięł umysł i serce. Widok gospodarujących myszy, jak i papierowe oblicza kobiet z australijskich periodyków, którymi wytafetowane były ściany, nie mogły, oczywista, wyrównać niedoboru życiowego, ale odrywały myśli od bezpodlegnego wysiłku.

Do schronu wślizgnął się kapral Halicz.

— Józiu, śpisz?

— Nie, już oddawna wstałem.

— No, to chodź, jedziemy! Już wszyscy gotowi.

Zgasili kaganiec i wyszli na dwór. Opatuliła ich noc nieprzenikniona gęstwą mroku. Trudno było coś dojrzeć poza grubszymi zarysami nierówności terenowych, majaczących daleko na widnokręgu. Stąpali uważnie między niesymetrycznie rozrzuconymi schronami ku miejscu zbiórki, skąd dobiegały szmery urywanych rozmów i warkot rozruszanych silników. Niewyraźne sylwetki przysadkowatych „taczek” i ludzi krzątających się gorączkowo zlewały się z czernią ła. Idący zbliżyli się do wykopu, w którym pod siatką maskowniczą drzemał carrier. Odkrył go. Halicz sprawdził wodę, oliwę, rozrusznik, Gruda — broń, amunicję, stanaty.

JEDZIEMY

Z mroku wyłonił się dea plutonu, por. Sanicki. Stał przy wozie, wysoki, szczupły, ruchliwy.

— Gruda, jak tam? — spytał.

— W porządku, panie poruczniku!

— Dobra! — skinął głową — Jedziemy!

Motory zagrały rytmem gotowości i pracy. Szesć wozów i dwa działka ppanc. zwolna rozwinęły się w sztywne bojowy i okryte ruchomą ścianą kurzu ruszyły naprzód, w stronę nieprzypiętych stałych pozycji. Niepełna osiemnaście kilometrów dzieliło od pierwszych linii npla. Jadąc ludzie zachowywali daleko posuniętą ostrożność: na przedpolu myszowały często rozpoznawcze oddziały wroga. nierozważne zetknięcie się z większym patrolom wroga, na skutek specyficznego układu terenu, mogło być przykre w skutkach. Zachowanie się npla, szykującego się do natarcia, nastęrczało uzasadnione przypuszczenie o możliwości niespodzianek.

Dniało. Wschodnia połać nieba z ziemisto-szarej stawała się stopniowo sino — niebieska. Księżyc błądzi, znużony nocnym patreolem, schodził senny z posterunku. Urywane linie załamanych terenowych przybierały na ostrości. Ze stoków wzgórz w kręte doliny zbiegał wiatr ze sporym ładunkiem pyłu. Gąsienice uporczywie, z furją odbywając swą nieprzerwaną marsz wokół rolek, rzucali w przestrzeń garście piachu i kamieni. Chłodno było. Okryci płaszczami, skupieni, wyczelali „carrierowicze” wzrok. Przed nimi, jak okiem sięgnąć, rozciągała się pustynia, głucha, mroczna, tajemnicza.

Oparty plecami o wewnętrzny pancierz, oddawał się Gruda rozpamiętywaniom. Nastrój jego był minorowy. Chętnie wyjeżdżał na rozpoznania; zapowiedź przygody — jedyny fakt, zdający się być do rzeczny w życiu frontowym — absorbowała go zawsze. Tym razem tropiło go niejasne przeczuje zła. Szczególnie ostatnie dwa wypadki, jakie miały miejsce w pltonie, podziały nań deprymująco. Dwa dni temu strzelec z jego sekcji, Czernski, młody, uczynny chłopiec natknął się na pułapkę wroga. W porzuconym schronie włoskim u wejścia tkwiła spora deska. Żołnierz szarpnął deskę — nie ustąpiła, szarpnął mocniej — deska wyleciała w powietrze, on wraz z nią. Tegoż dnia zginął od pocisku nurlującego Messerschmitta repista plutonu, kapral Król. Odporny na złośliwości wojny, Gruda — człowiek refleksyjny, głęboko przeżywał utratę ludzi, z którymi dzielił trud i niebezpieczeństwo.

Już słońce wznosiło się wysoko nad wielogarnym załosem horyzontu, gdy grupa rozpoznająca zbliżyła się do Temrothu — krótkiego pasma wzgórz, u podnóża którego wiła się serpentyną głęboki wąwóz. Ukryto wozy tak, aby mieć z nich wygodne stanowiska obserwacyjne. Carrier Grudy, skrajnie lewoskrzydłowy, znalazł się naprzeciw wylotu wąwozu. Uzbrojeni w lornety, dcy wozów bezustannie obserwowali stanowiska nieprzypięte. Panowała bezwzględna cisza. Niemcy nie zdradzali aktywności, ich niernuchome punkty oporu zasłygły w martwej groźbie. Żadnego ruchu, żadnego ognia — nie. Było coś straszliwego w tej ciszy, kryjącej jakieś tajemne zamysły wroga. Dziwne: cisza, brzemienista w zapowiedzi walki, była bardziej uciążliwa, niż ta ostatnia.

Ludzie posilili się i dębali przy wozach. Obserwatorzy nie odrywali lornet od oczu. Często zmieniali się: długie wyczerpanie wzroku męczyło i rodziło złudzenia optyczne. Gorąco i nieskalana jaśń słońca przenikały komórki ciała ostrymi promieniami.

FATA MORGANA

Kapral Halicz, manipulujący przy „Brenie”, ułożył go wreszcie na lawecie i tracił plutonowego.

— Józiu, dlaczego „oni” do nas nie strzelają?

Gruda opuścił na chwilę lornetę na piersi.

— Bo nas nie widzą.

— Jakto nie widzą? W biały dzień, na taką odległość?

— Fata morgana, rozumiesz?

— Aa!

Milczeli czas jakiś. Z kolei Gruda tracił Halicza.

— Zobacz no, tam! O, widzisz, jakieś dwa palce w lewo od tej wyrwy na górcie! Co to jest?

Halicz długo wpatrywał się we wskazane miejsce. Oderwał lornetę, przetaił oczy i znowu popatrzał.

— Słupki! — rzekł wreszcie.

Tak przetrwali kilka godzin. W południe ukazał się na niebie pościgowiec niemiecki; szybował z warkotem nad własnymi pozycjami i skrył się za horyzontem. Żołnierze, obserwujący go ze spokojem, z jakim oglądali się przejeżdżające ulicą auto, dyskutowali na temat jego marki i pułapu. Wtem...

WRÓG CZY PRZYJACIEL ?

Znienacka, odprowadzana potężną smugą kurzu, ukazała się w dolinie kolumna. Gruda rozróżnił kilka samochodów, aut pancernych i kilkanaście ciągników z działkami, idących w kierunku zajętogo przez pluton rozpoznawczy stanowiska. Dreszczyk emocjonującego niebezpieczeństwa przebiegł przez ludzi. Urzeczony grozą położenia trwali chwilę bez decyzji. Strzelec Brona skierował karabin maszynowy i puścił kilka krótkich serii.

— Nie strzelaj, byku! Zdaje mi się, że to angielskie wozy!

— Angielskie... z niemiecką obsługą — odburknął Brona.

Gruda szybko załadował rakiety i wypalił w górę. Dwie czerwone rakiety padając jedna za drugą kreśliły swą drogę wąskimi smugami dymu. Był to umówiony znak rozpoznawania się oddziałów własnych na przedpolu. Jakby w odpowiedzi, kolumna rozdzieliła się na trzy części. Jeden działon pozostał na miejscu i zajął się odprzodkowaniem dział, dwa pomknęły wawozem.

— Okrążają nas! — przesyło móg Grudy.

Obejrzał się. Dowódca plutonu, por. Sanicki, pełnym gazem walił na lewe skrzydło. Zatrzymał carrier tuż przy carrierze Grudy.

— Panie poruczniku! — wrzeszczał Gruda, aby przekrzykować warkot silników — wyrwyjmy stąd przedko! Wykończą nas zaraz!

— Zapóźno, zobacz pan! — porucznik wskazał ręką w dal.

Na prawym skraju Temrothu sterzczały dwa niemieckie czołgi, złowieszcze, wielkie, jak stalowe gmaczy.

— Jesteśmy w potrzasku! Co robić?

— Stać na miejscu — krzyczał Sanicki. — Nie strzelać! Ja pojedę do kolumny zobaczyć, kto to jest! W razie czego, ubezpieczaj mnie ogniem. Jeżeli zginę — ratować się, jak kto może!

Pojechał w kąpieli kurzu, wprost na najbardziej wysunięty działon. W lewej ręce trzymał lornetkę, w prawej ścisnął granat. Twarz wyostrzył mu wyraz skupienia i zdecydowania. Kierowca zawiązcie dusił akcelerator. Rozpedzony pojazd mknął z maksymalną szybkością. Jednocześnie z działonu odłączyło się auto pancerne, kierując się w stronę carriera. Kolos i malec pedzili do siebie na wprost, jakby za chwilę mieli zwrzeć się w śmiertelnych zapasach. Pierwsze zatrzymało się auto, tuż przy nim zarył się gąsienicami w piach carrier.

POLES, INDEED?

Z wozu pancernego wyskoczył miodzieniec z rudymi wąsikami, w kombinie i dużych szoferskich okularach.

— Whoever are you? — krzyknął.

Rzuciwszy okiem na Sanickiego wykrzyknął radośnie:

— Poles, indeed?

Uściskali się serdecznie, jak starzy znajomi. Okazało się, że patrol trzy dni przebywał w pustyni. Zadaniem jego było zwalczanie patroli npla i ostrzeliwanie Deryn. Oczywiście, znaków umówionych, zmieniających co dzień, znać nie mogli. Widzieli rakiety, ale nie rozumieli ich znaczenia. Byli przekonani, że zetknęli się z niemieckim oddziałem rozpoznawczym posługującym się angielskim sprzętem. Utwierdziła ich w tym mniemaniu seria karabinu maszynowego.

Wydarzenie podziało na ludzi odprężająco. Pewność, że droga powrotna jest wolna i względnie bezpieczna, pozbawiła grozy czyhające na Temrocie czołgi. Wysitek nerwowy został powetowany uzyskaniem nowych sił i podniesieniem ducha.

W pół godziny potem zmącił ciszę wystrzał artyleryjski, za nim nastąpił drugi, trzeci. Pierwsze pociski padły daleko za carrierami, następnie — tuż, przed nimi. Kanonada przybierała na sile, huk detonacji tysiącym echem odbijał się w górach. Wiatr rozpościerał chmury dymu i kurzu.

— Wstrzeliwują się! — pomyślał Gruda. — Obserwator artyleryjski kieruje ogniem z czołga. Nie ma co, trzeba się wycofać.

POWRÓT Z ROZPOZNANIA

Podobnie myślał i dowódca plutonu. Podniósł wysoko chorągiewkę; dał znak. Carrierzy zaprzęchali dymem i kurzem. Ruszyli.

Na pełnym gazie, nie zaniedbując ostrożności wracał pluton z rozpoznania. Motory grały. Rozumiejąc pragnienie ludzi zapamiętałe wysyłały swe stalowe mięśnie. Żołnierze, wyczerpani, wyobraźni byli już w schronach, nie traciłi jednak pazytomności umysłu i nic ze swj czujności. Gotowi na wszelką bojową ewentualność, spokojnie śledzili wybuchy artyleryjskich upominków. Często oglądali się do tyłu za zwolna oddalającym się podłużnym ciętskiem Tomrothu.

Bez przerwy kropiła artyleria.

Jan Kielewicz

PRZEMYSŁ WOJENNY W POLSCE

OSIĄGNIĘCIA polskiego przemysłu
WOJENNEGO

Kiedy późną jesienią 1936 roku nasze najwyższe władze wojskowe zdecydowały się na uzbrojenie wojska w znakomite i doskonale w 1939 r. zapisanie działko przeciwpancerne 37 mm Boforsa, postanowiono produkować tego działka przeprowadzić równocześnie na dwu terenach. Część działek miała dostarczyć sama firma Bofors, część zaś mieliśmy wykonać w kraju. Do tego celu należało rozszerzyć istniejącą w Pruszkowie fabrykę „Stowaryszenia Mechaników”, a właściwie wybudować przy tej fabryce warsztaty zupełnie nowe, dostosowane do produkcji dział. I chociaż zima nie jest przecież w Polsce sezonem budowlanym, chociaż w poprzedniej wojnie bogata, przemysłowa Ameryka potrzebowała 12 do 18 miesięcy zanim zdolała dostarczyć Anglii pierwsze zamówione przez nią karabiny (o ileż łatwiejszą do produkcji broni, niż armata), to jednak nasi inżynierowie potrafili w ciągu niespełna 7 miesięcy (z tego 4 miesiące zimowe!) wybudować potrzebne hale warsztatowe, urządzić je i dostarczyć wojsku pierwszych 100 dział przeciwpancernych, podczas gdy w tym samym czasie firma Bofors, konstruktorka dział, nie zdolała wykonać ani jednego jego egzemplarza!

A jakość naszych dział i pocisków była tak wysoka, że przewyższała znacznie jakość dział i pocisków wyrobu macierzystej fabryki Bofors.

To samo można powiedzieć o jakości naszych płyt pancernych, którym nie dorównywały w 1939 r. żadne płyty zagraniczne, zarówno wytwarzane w Niemczech, które przecież miały w tym kierunku znacznie starszą od nas tradycję fabrykacyjną, jak i w państwach sprzymierzonych. Ten stan rzeczy zawdzięczać należy jedynie śmiałości koncepcji naszych inżynierów, którzy nie wahałi się iść drogami zupełnie nowymi odrzucając wszelkie dotychczasowe tradycyjne metody.

Jakość wyrobów naszego przemysłu wojennego zabłysła w całej pełni zwłaszcza z chwilą, gdy postanowiliśmy wyjść na rynki zagraniczne. Zadanie nie było łatwe. Mieliśmy do pokonania konkurencję potężnego koncernu Schneidera i związanej z nim Skody, koncernu, który dysponował olbrzymim kapitałem, a więc i potężnymi możliwościami kredytowymi (jeśli tego było trzeba), oraz jeszcze potężniejszymi wpływami politycznymi, a wreszcie doskonałą znajomością terenu oraz wysokimi stosunkami osobistymi, a więc i orientacją — ważną bardzo w niektórych krajach — do kogo i jak trafić.

Naszą jedyną bronią w tej nierównej walce mogła być tylko jakość naszych wyrobów. Tą bronią zwyciężyliśmy. Po krótkim oporze udało się nam silnie wejść na teren Grecji, gdzie dostarczaliśmy amunicję artyleryjską, prochy, a nawet samoloty, na teren Jugosławii, gdzie staliśmy się z czasem nieomal jedynym dostawcą sprzętu wojennego, a nawet na tereny dziś nam bliskie, bo na tereny Środkowego i Błiskiego Wschodu. Nie mogliśmy tylko trafić na teren Rumunii (poza granatami ręcznymi i samolotami), gdzie działały

wpływy finansowe, sięgające bardzo wysoko.

Jeśli chodzi o teren Środkowego Wschodu, to warto przypomnieć pewien ciekawy wypadek. W czasie demonstracji naszego karabinu, król jednego z państw arabskich postanowił osobiście zbadać jego jakość: postawił więc tarczę na 700 m i kazał ją trzymać dwu żołnierzom. Na naszym inżynierze aż ścierpła skóra — niech no tylko królewska ręka nieco drgnie! Ale okazało się, że król strzelał dobrze, a karabin był doskonały: wszystkie strzały były w tarczy. W kilka miesięcy potem Fabryka Broni w Radomiu miała egzotycznych gości: przedstawicieli świata arabskiego, odbiorców znakomych polskich karabinów.

Nasze prochy panowały bezkonkurencyjnie w wielkiej ilości państw i to nie tylko bałkańskich. A jakim zaufaniem cieszyli się nasi inżynierowie prochowcy, niech świadczy przykład następujący. Rząd jugosłowiański miał jakieś kłopoty z prochami, dostarczonymi przez fabrykę Skoda. Zwrócił się więc do naszych inżynierów, by jako eksperci poradzili mu, co ma z tym prochem robić. A gdy ci bronili się, że przecież trudno im wydawać opinię o prochach firmy konkurencyjnej, odpowiedział im z uśmiechem jugosłowiański minister wojny: „Mam pełne zaufanie do panów fachowości i do panów lojalności”.

A kiedy zaczęła się zbliżać zawierucha wojenna i państwa zachodu przypomnieli sobie o konieczności powiększenia skąpego zapasu swej broni, przemysł nasz wojenny rozszerzył swą produkcję na najbardziej przecież uprzemysłowione kraje, jak Holandia i Anglia. Trudno powiedzieć, jaki to mogło mieć wpływ konkretny na stosunki polsko-angielskie, ale niewątpliwie odbiorcy angielscy, którzy oświadczyli nam: „właściwie my tu jesteśmy nieopierzalni; to co nam dostarczacie, jest tak bez zarzutu, że nie mamy nic do roboty” — musieli w sferach miarodajnych wysoko podnosić prestiż Polski.

Przeszłość niechaj nam będzie nauką na przyszłość, na okres wojenny. Jeżeli mamy odegrać w Europie środkowej rolę jaka nam słusnie przynależy, w takim razie musimy rozwinąć przemysł wojenny silniejszy jeszcze, niż przed wojną. On jedynie może być gwarancją naszej pełnej niezawisłości politycznej i naszej mocy obronnej.

Rozbudowany — w ich własnym interesie — przez Niemców przemysł wojenny w Polsce stanowić będzie pierwsze podstawy. Resztę trzeba będzie czerpać z odszkodowań niemieckich, co równocześnie wzmoże potencjał obronny Polski, a osłabi potencjał napastniczy Niemiec.

Trudniej przedstawiać się będzie sprawa personelu. Ze względu na bieg wypadków w 1939 roku, oraz na wady naszej ewakuacji, znaczny procent inżynierów naszego przemysłu wojennego zarówno wojskowych jak i cywilnych znalazł się na terenie Rosji. A wróci z nich drobny

tylko procent. Niestety bardzo wielu — i to najlepszych — należy do grupy zaginionych bez wieści.

Nasi inżynierowie, którzy pracują w przemyśle wojennym Anglii, Stanów Zjednoczonych, a nawet Turcji, choć niewątpliwie wniosą do Polski wielki kapitał doświadczenia, stanowiąc hędą jednak zbyt szczupłą

kadry dla pełnej rozbudowy naszego przemysłu wojennego.

To też jednym z pierwszych zadań naszych po powrocie będzie musiała być intensywne prace nad szkoleniem młodego narybku (część młodzieży niewątpliwie można szkolić i dziś). A jeżeli weźmiemy się do pracy energicznie to — wobec podkreślonych już wysokich, wojennych wręcz, zdolności technicznych, jakie tkwią w polskim narodzi, szybko odrobimy zadane nam przez wrogów szczyby i odrodzimy polski przemysł wojenny zajmując mu miejsce w krajach środkowej i południowo-wschodniej Europy.

Dr Tadeusz Felsztyn

Lista zamęczonych profesorów

(Dokończenie z nr-u 27)

41. Stefan Kwietniewski, docent geometrii wykreslonej — z głodu na ulicy w Warszawie.

42. Zygmunt Wóycicki, prof. botaniki — Warszawa.

43. Irena Maternowska, prof. — Warszawa.

UNIwersytet
JANA KAZIMIERZA

44. Franciszek Smolka, prof. paleontologii — Lwów.

45. Kazimierz Białaszewicz, prof. fizjologii zwierząt — Lwów.

46. Adam Gerstman, prof. teologii — w czasie okupacji sowieckiej.

47. Władysław Abraham, prof. prawa kościelnego — w czasie okupacji sowieckiej.

48. Adam Bednarski, prof. chorób ocznych — w czasie okupacji sowieckiej.

49. Kazimierz Szumowski, asystent — w czasie okupacji sowieckiej.

50. Kazimierz Tyszkowski, docent historii Polski — w czasie okupacji sowieckiej.

51. Zdzisław Zmigryder Konopka, docent historii starożytnej — w czasie okupacji sowieckiej.

UNIwersytet POZNAŃSKI

52. Romuald Paczkowski, prof. prawa cywilnego — w czasie okupacji.

53. Ludwik Cwikliński, prof. filologii klasycznej — w czasie okupacji.

54. Bronisław Dembiński, prof. historii współczesnej — w czasie okupacji.

55. Edward Klich, prof. polonistyki — w czasie okupacji.

56. Józef Morawski, prof. filologii klasycznej — w czasie okupacji.

57. Stanisław Pawłowski, prof. geografii — w czasie okupacji.

58. Michał Sobeski, prof. filozofii — w czasie okupacji.

59. Stanisław Kalandyk, prof. fizyki — w czasie okupacji.

60. Janusz Libicki, docent ekonomii politycznej — w Rosji.

POLITECHNIKA WARSZAWSKA

61. W. Sosnowski, prof. geometrii wykreslonej — Oświęcim.

62. Oskar Sosnowski, prof. architektury — w czasie bombardowania we wrześniu 1939 r.

POLITECHNIKA LWOWSKA

63. Kazimierz Bartel, prof. geometrii wykreslonej — rozstrzelany przez Niemców.

UNIwersytet
STEFANA BATOREGO

64. Stanisław Cywiński, docent historii literatury polskiej — w Rosji.

65. Franciszek Bossowski, prof. prawa rzymskiego — Kraków.

AKADEMIA GORNICZA

66. Antoni Hoborski, prof. matematyki — Oranienburg.

67. Antoni Takliński, prof. mechaniki — Oranienburg.

68. Antoni Meyer, prof. prawa górniczego — Oranienburg.

UNIwersytet KATOLICKI

69. Józef Birkenmajer, prof. literatury — we wrześniu 1939 r.

SZKOŁA GŁÓWNA
GOSPODARSTWA WIEJSKIEGO

70. Witold Staniszkis, prof. rolnictwa — Oświęcim.

WOLNA WSZECHNICA

71. Stefan Dzewulski, prof. ekonomii politycznej — w czasie okupacji.

SZKOŁA GŁÓWNA HANDLOWA

72. Konstanty Krzeczkowski, prof. polityki społecznej — w czasie okupacji.

73. Bolesław Miklaszewski, prof. technologii — Warszawa.

74. Antoni Sujkowski, prof. geografii — Warszawa.

Jak widać, między ofiarami barbarzyństwa niemieckiego znajduje się wielu ludzi nauki o sławie światowej. Profesorowie: Bartel, Chrzanowski, Dembiński, Estreicher, Kościanka, Siedlecki, Smoleński i inni.

Donoszą również, że zmarli we Lwowie: Kazimierz Sichulski, artysta-malarz; Henryk Zbierzchowski, poeta-literat; Jarosław Wojciechowski, architekt; Wacław Wąsowicz, artysta-malarz; Leon Piwiński, krytyk literacki. W Krakowie — Helena d'Abancourt, długoletnia bibliotekarka Akademii Umiejętności; w Warszawie — Jan Bajkowski, publicysta. W obężie w Mathausen — Stanisław Nowogródzki, młody historyk.

PAMIĘTAJ
— O —
DZIECIACH
POLSKICH
W Z.S.R.R.

TYGODNIK

DEKRETEM Z DNIA 8 LIPCA PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ mianował generała broni Kazimierza Sosnowskiego Naczelnym Wodzem Polskich Sił Zbrojnych. W chwili, gdy wojna wkracza w fazę decydującą, gdy rozpoczęła się inwazja Europy i gdy zbliża się również okres przystąpienia do akcji Polskich Sił Zbrojnych, szybka nominacja nowego Naczelnego Wodza była jaknajbardziej wskazana. Konstytucja polska — dając pod tym względem szerokie uprawnienia Prezydentowi Rzeczypospolitej — raz jeszcze zdała w czasie wojny egzamin jako dokument zapewniający w najbardziej trudnych warunkach ciągłość władzy i szybkie ustalenie następstw na najwyższych stanowiskach państwowych. Sądymy, że tych jej walorów nikt nie chce osłabiać.

Natychmiastowa nominacja nowego Naczelnego Wodza jest dowodem niezłomnej woli walki narodu polskiego, którego nie złamią żadne trudności ani cioty. Osoba generała Sosnowskiego, jego przeszłość i czynny udział w bitwach tej już wojny są najlepszą rekomacją, że dowodzone przez niego siły zbrojne wypełnią będą nadal do ostatnich granic możliwości swe obowiązki sojusznicze broniąc nienaruszalności praw polskich, skądkolwiek byłyby one zagrożone.

Co do tego nikt nie może mieć wątpliwości. Takie było nasze stanowisko zawsze i takie będzie w przyszłości. Sądymy, że właśnie ta postawa zjednała dla narodu polskiego ów szacunek, któremu tyłe państw i narodów dało wyraz po śmierci generała Sikorskiego. Wśród kondolencji wówczas składanych na szczególną uwagę zastępują zwłaszcza słowa prezydenta Roosevelta, jak i premiera Churchill'a, który w Izbie Gmin mówił: „Wyrażamy naszą ufność w nieśmiertelnym zalety Polaków i ogłaszamy postanowienie, że praca Sikorskiego jako premiera i Wodza Naczelnego nie będzie zmarnowana”. Minister Eden zaś w liście do ministra Raczynskiego pisał: „Jesteśmy zdecydowani iść naprzód w ścisłym związku z pańskim krajem oraz z innymi narodami zjednoczonymi, dopóki nie zostaną potężne wysiłki nie przyniosą odbudowy wielkiej i niepodległej Polski”.

Zgon gen. Sikorskiego nie zmieni oczywiście w niczym naszych stanowisków zarówno w Wielką Brytanię, jak i ze Stanami Zjednoczonymi. Stało się jednak dobrze — wobec intryg wrogów — że ten tak oczywisty fakt został potwierdzony z tylu miarodajnych stron.

Jednocześnie z mianowaniem Naczelnego Wodza Prezydent Rzeczypospolitej powierzył misję utworzenia nowego rządu wicepremierowi Nikołajczykowi. W ten sposób stanowisko premiera zostało oddzielone od stanowiska Naczelnego Wodza, co z wielu względów należy uważać za decyzję szczęśliwą. Do chwili, gdy piszemy te słowa, p. Nikołajczyk wszakże rządu nie utworzył.

Szczególne trudne położenie naszego państwa wymaga, by w tej zwłaszcza chwili w rządzie znaleźli się ludzie z dużym autory-

tetem politycznym i moralnym oraz z wypróbowanym charakterem, których nazwiska byłyby znane w kraju i zagranicą.

OSTATECZNE ZAZEGNANIE KRYZYSU na odcinku polskim jest pilne, albowiem tydzień ubiegły wprowadził nas w nową fazę wojny. Rozpoczęcie walk na froncie rosyjskim na odcinku Orzeł — Kursk — Biełgorod stało się hasłem do inwazji anglo-saskiej na Europę — jednego z największych wydarzeń w tej wojnie — któremu towarzyszą działania zaczepne aliantów przeciw Japonii w południowo-wschodniej części Pacyfiku.

Do dnia dzisiejszego trudno jeszcze ustalić charakter walk w Rosji. Czy nowa ofensywa niemiecka była istotnie zamierzona, a jeżeli tak, to na jaką skalę, czy też Hitler czuł się zmuszony rozpocząć walkę, jak uprzedzić uderzenie sowieckie? Komunikaty niemieckie były początkowo niezmiernie powściągliwe w omawianiu walk na odcinku Orzeł — Biełgorod, a nawet dawały do zrozumienia, że właściwie strona nacierająca nie są Niemcy, a Rosja.

W NIEMCZECH SCIERAŁY SIĘ DWIE TEORIE STRATEGICZNE. Jedna, defensywna — reprezentowana na ogół przez generację — stała na stanowisku, że w tej fazie wojny lepiej ograniczyć się do obrony i odczekać, co zrobią alianci. Natomiast koła partii narodowo-socjalistycznej, reprezentujące, jak wiadomo, ostawiony „dynamizm” niemiecki, były innego zdania i wypowiadały się za ofensywę. W rezultacie wybrano drogę pośrednią: natarcie na stosunkowo wąskim odcinku. Bezpośrednim celem uderzenia było zlikwidowanie klina sowieckiego w pozycjach niemieckich w rejonie Kurską, a ponadto zagrożenie Moskwy. Celem dalszym było takie osłabienie Rosji, by móc z frontu sowieckiego wycofać w stosownej chwili dość wojska dla powstrzymania postępów aliantów na zachodzie. Jest to zapewne w umiarnym licznych kół berlińskich jedyna szansa uratowania się od katastrofy.

Nie należy wszakże wyłączać, że niemiecka ofensywa w Rosji ma głównie cele dywersyjne, a dążeniem jej było spowodowanie działań na wschodzie i na zachodzie. Chodzić może jeszcze o co innego. Korespondent Reutera w Sztokholmie zanotował pogłoskę tam rozpущoną, że celem ofensywy jest zmuszenie Rosji do zawarcia odrębnego pokoju wobec niepowodzenia poprzednich prób w tym kierunku.

Na razie trudno zorientować się w wynikach walk na froncie sowieckim. Według ostatnich wiadomości Niemcom udało się wbić klin w pozycje sowieckie na odcinku Kursk — Biełgorod. Rosjanie nie ukrywają, że klin to niebezpieczny, ale nie tracą nadziei, że uda im się powstrzymać dalsze próby marszałka von Kluge rozszerzenia wyrwy przez rozciągnięcie jej w kierunku Kurska. Gorzej jakoby powiodło się Niemcom na odcinku Orzeł — Kursk, gdzie wojska sowieckie skutecznie powstrzymują natarcie. Obie strony są zgodne w tym, że walki są ciężkie i że nie dały dotąd rozstrzygnięcia.

W KILKA DNI PO ROZPOCZĘCIU DZIAŁAŃ W ROSJI, bo w dniu 10 lipca, rozpoczęły się największe w dziejach wojny operacje lądowo-morskie w basenie morza Śródziemnego. Dwa tysiące okrętów i statków sojusznicznych — w tym jednostki polskie — dostawiły wojska brytyjskie, amerykańskie i kanadyjskie wraz z bronią i zaopatrzeniem do brzegów Sycylii. Rozpoczęła się inwazja Europy pod naczelnym dowództwem gen. Eisenhowera. Działania — bardzo oczywiście ryzykowne i niebezpieczne — są w toku, ale pierwsze wyniki świadczą o powodzeniu desantu. Ani jeden statek sojusznicy nie został zatopiony, a wojska desantowe natychmiast uchwyciły się mocno brzegów wyspy i ruszyły naprzód. Obsadziły one dwa przyczółki i zajęły już Syrakuzy, Licatę, Ragusę, Augustę i szereg innych miejscowości. W praktyce cały południowo-wschodni cypel wyspy od bazy łodzi podwodnych Augusty, znajdującej się w odległości około 30 km od Catanii, aż po Licatę na południowych brzegach Sycylii, jest w rękach sojuszników. Zdobyte dogodnych portów, zwłaszcza portu syrakuskiego, ułatwił znakomicie dalsze lądowania, a opanowanie kilku już lotnisk pozwoli rozszerzyć działalność lotnictwa myśliwskiego.

Kierunek uderzenia wymierzony jest na Messynę. Opanowanie cieśniny messyńskiej — między słynną Scyllą i Charybdą — sparaliżuje do reszty flotę włoską, która ulegnie wówczas rozbiću na dwa czony — jeden zmuszony będzie wycofać się w stronę Genui i Spezji, drugi w głąb Adriatyku. Pierwszy ten wynik uderzenia na Sycylię a zwłaszcza na Messynę ułatwiłby znakomicie dalsze działania w kierunku na Włochy. Sardynię, Korsykę, oraz na Grecję.

SPRZYMIERZENI SPODZIEWAJĄ SIĘ JESZCZE CIĘŻKICH WALK na Sycylii. Oczekiwać też należy silnych przeciwdziałań „osi”. Sycylii broni 300.000 armia włoska. Na wyspie znajdują się wojska niemieckie w liczbie około 30.000 ludzi. Zajęły one stanowiska między Cataniją i Licatą na odcinku miasta Raguzy, które wszakże padło po ciężkich walkach. Czynne jest również lotnictwo niemieckie. Dowódca śródziemnomorskiej niemieckiej floty powietrznej Kesselring otrzymał pomoc w osobie marszałka Richthofena, nie wiadomo wszakże, czy pomoc ta wyrazi się również w dostawie większej ilości samolotów. Znamienny bowiem jest fakt, że Niemcy w komentarzach swoich stwierdzali, iż obrona Włoch należy przede wszystkim do Włochów. Sami Niemcy skupiają obecnie swą uwagę na Bałkanach, zwłaszcza że sprzymierzeni nie ukrywają, iż jedynym z następnych celów ich uderzeń, może jeszcze w czasie walk na Sycylii, będzie Grecja z wyspą Kretą. Obecność amerykańskiego ministra wojny Stimsona w Anglii świadczy, że anglo-amerykańska współpraca wojskowa jest najściślejszą i że należy spodziewać się dalszych decyzji strategicznych.

Alianci prawdopodobnie nie zatrzymają się na Sycylii, lecz pójdą

dalej, by zdobyć dalsze bazy, które dalekim im bezwzględne panowanie nad Morzem Śródziemnym, co jest pierwszym celem obecnej akcji. Roosevelt uważał za swój obowiązek w chwili rozpoczęcia desantu we Włoszech zapewnić papieża w specjalnym orędziu, iż wojska sojusznicze uszanują neutralność państwa watykańskiego i posiadłości papieskich. Znaczyło to, że Rzym znaleźć się może łatwo w strefie nadchodzących działań wojennych.

Należy oczywiście być przygotowanym na ciężkie jeszcze zmagania, różne niespodzianki i zwroty fortuny wojennej, lecz przynajmniej trzeba, że pierwsze szanse tak reklamowanej przez Hitlera „fortecy europejskiej”, twierdzy rzekomo nie do zdobycia, padły zadziwiająco szybko. W tym stanie rzeczy, Włosi gotowi nie odegrać roli alianta opóźniającego działania wojenne do czasu uporańcia się przez Niemcy z sowieckim przeciwnikiem — chyba że również Niemcy przyspieszą akcję na froncie wschodnim. Nie wiadomo bowiem, jaki wpływ wywarłby szybki przebieg działań wojennych na Sycylii na psychikę ludności włoskiej, karmionej dotąd ślepym optymizmem.

KOMENTATORZY WOJSKOWI W LONDYNIE stwierdzają, że działania na Sycylii nie należy nazywać „drugim frontem”, którego jak wiadomo domagała się propaganda sowiecka — ale wstępem do wyzwolenia Europy. Oby tak było istotnie i oby już żadne niespodzianki oraz też sily nie spaczyły wyników akcji zbrojnej podjętej na zachodzie w tak doniosłych intencjach.

Uderzenie sojuszników na Włochy przy jednoczesnym trwaniu ofensywy lotniczej na Zagłębie Rubry (ostatnio bombardowano znowu Kolodzie i Gelsenkirchen) oraz stwierdzenie już przez samych Niemców niepowodzenia ich akcji podwodnej na Atlantyku, stawia Rzeczę w coraz trudniejsze położenie. Tym silniej będzie ona oglądała się obecnie na Japonię. Uderzenie Japonii choćby na Indie mogłoby w mniemaniu Berlina pokrzyżować plany aliantów i zmącić ich pomyślną obecnie sytuację. Tymczasem Japonia została znowu ugodzona w południowo-wschodniej części Pacyfiku, gdzie generał Mac Arthur podjął działania zaczepne.

Po zwycięsko rozegranej bitwie morskiej w zatoce Kula w kręgu archipelagu Salomona, wojska amerykańskie wyładowały na wyspie Nowej Georgii z zamiarem opanowania lotniska Munda. Ponadto obsadziły wyspy Woodlark i Trobriand. Walki, jakie rozpoczęły się na Nowej Georgii są dalszym ciągiem działań mających na celu wyparcie Japonczyków z baz uderzeniowych na Australię. Chodzi tu zwłaszcza o bazy w Salamaua na Nowej Gwinei i w Rabaul na Nowej Brytanii. Od Salamaua oddzielone są lądowe wojska sojusznicze malaryczną dżunglą, której opanowanie byłoby trudne i kosztowałoby wiele istnień ludzkich. Wobec tego generał Mac Arthur wszczął ofensywę, która okrężnym manewrem poprzez wyspy Salomona i Nową Brytanię ma w końcu zagrozić stanowiskom japońskim na Nowej Gwinei. Koła amerykańskie zgodnie podkreślają, że nie jest to ofensywa generalna, ale akcja mająca na celu zdobycie baz do ofensywy właściwej, przyczem alianci mają zamiar postawić się nie „z wyspy na wyspę”, ale z lotniska na lotnisko, co powinno przyspieszyć tempo działań i utrudnić Japonii podjęcie akcji na innych frontach. D. I.

Niekoronowana KROLOWA pustyni

Kim była ta brytyjska Diana pustyni, tajemnicza kobieta Wschodu, której imię i historia znane były w pierwszych latach po zesłaniu wojnie na wszystkich kontynentach świata?

Kobieta, która króla osadziła na tronie.

„Niekoronowana królowa pustyni” posiadająca własny pułk w armii irackiej.

„Nieoficjalny minister spraw zagranicznych” w Bagdadzie.

Kobieta, której rząd brytyjski powierzył sporządzenie „Białej Księgi” o stosunkach irackich.

Pierwsza kobieta mianowana A.P.O. („Assistant Political Officer”) rządu brytyjskiego na Wschodzie, z którą to funkcją łączył się stopień wojskowy — dowód uznania ze strony ministerstwa kolonii.

Gertruda, córka sir Hugh Bell, urodziła się 12 lipca 1868 r. w hrabstwie Yorkshire w W. Brytanii. Matka obumarała ją, gdy miała trzy lata. Ojciec ożenił się po raz drugi i serdeczny stosunek, jaki wytworzył się między Gertrudą a jej macochą został nam w spuściźnie piękna książka „Listy Gertrudy Bell” do lady Bell, książkę zawierającą całą miłość Gertrudy dla kraju i narodu, którego stała się „Niekoronowaną Królową”.

Największy wpływ na życie Gertrudy Bell odegrały podróże. Już jako 19 letnia panna wyrusza ze swym ojcem w dalekie i bajeczne kraje Wschodu. Poznaje ziemie i ludy je zamieszkujące. Poznaje ich ducha, język, z całą pasją odkrywa grzebie się w ruinach dawno minionych kultur Środkowego Wschodu — równocześnie jednak pozostaje typową

Angielką, niemniej od włóczęgi po świecie kochającą swoje rodzinne gniazdo, swych braci i siostry — czego dowodem, z bezprzykładną wprost regularnością prowadzona przez 40 lat, korespondencja z domem, w której jest mowa w wszystkich: o wrażeńach z podróży, o ludziach spotkanych, o pogodzie i sukniach, jakie prosi by jej przysłano z domu na pustynię.

Początkowo nie jednak nie wskazuje na to, by Gertruda miała odegrać taką rolę, jaka jej przypadła. Jest kobietą. W czasie pobytu w Persji zakochuje się w młodym dyplomacie angielskim. Ale ojciec jej jest przeciwny tej miłości. Za nic nie chce się rozstać z ukochaną córką. Nie pomagają błagania Gertrudy. Staje na rozstajnych drogach. Wybrać musi między dwoma mężczyznami, których kocha.

Przeznaczenie rozstrzyga o losie Gertrudy. Anglik, którego kocha, nagle umiera, a ból po jego stracie uzewnętrza się w miłości bez reszty do Arabów.

Po śmierci ojca Gertruda sama już przygotowuje ekspedycję i wyrusza na badania archeologiczne na pustynię, na gołe „przez ludzi i Boga przekleśnię” obszary nigdy przed tym przez białą kobietę nie odwiedzane. W skwarne dni i mroźne noce wiąże swe życie ze Wschodem. Umacnia przyjaźń z Arabami, przyjaźń, która już nigdy nie miała wygasnąć. Poznaje ich pragnienia, wczuwa się w ich życie, trafia w najtajniejsze zakamarki myśli wschodniej. Przez 20 lat bez przerwy niemal grzebiąc się w ruinach Babilonu czy Asyrii, bada życie tych, którzy objęli spuściznę po starożytnych narodach na „ziemi dwóch rzek” — Me-

zopotamii. Hartuje ciało i ducha i gdy nadchodzi decydujący w dziejach Środkowego Wschodu okres wojny 1914—18, staje się jak gdyby mostem łączącym dwa jakże różne światy: Londyn i Bagdad.

Powstanie na pustyni, tak skutecznie przeprowadzone przez pułkownika Lawrence’a, uwolniło Arabów od panowania tureckiego i wprowadziło Brytyjczyków na Środkowy Wschód. Nasunęło się kłopotliwe zagadnienie: Jak wynagrodzić sprzymierzeńców arabskich?

„Przez stworzenie państwa arabskiego z jednym z arabskich książąt na tronie” twierdzili przywódcy arabscy. W Anglii jednak żądania te wzbudziły wątpliwości: czy Arabowie potrafią rządzić się samodzielnie? Którego z ich przywódców można osadzić na tronie?

Kto miał przedstawić brytyjskiemu MSZ arabskie roszczenia polityczne?

Najlepiej naświetlić ich życie, przedstawić przywódców i wysunąć odpowiedniego władcę dla Mezopotamii?

„Gertruda Bell”
I w tym decydującym dla Iraku momencie 50-letnia już wówczas Gertruda występuje na widownię jako pierwsza na świecie kobieta obciążona zadaniem sporządzenia „Białej Księgi”.

Zadziwia swych brytyjskich kolegów wyśmienitą znajomością Arabów i ich problemów, łatwością pojmowania ich żywca i zjednywania sobie wśród nich przyjaciół, szybkością i nieomylnością decyzji.

Zadanie jej jest obrzymie, pokonuje jednak wszelkie trudności i przedstawia rządowi brytyjskiemu „Białą Księgę”, w której proponuje przyznanie Arabom Mezopotamii, jako ich własnego kraju pod rządami Faisala „nieustraszonego”.

Powojenne intrygi polityczne, zazdrość, kontr-propozycje opóźniają wykonanie tego planu, Gertruda Bell jest już jednak potęgą w cieniu tronu. Obstaje uparcie przy swoim, doradza, naciska i wreszcie w 1921 roku doczeka się owoców swej kilkudziesięcioletniej pracy wśród Arabów. Faisal, syn Husseina króla Hedżasu, potomek Mahemeta, zostaje proklamowany królem Iraku. Dzielny towarzysz broni pułkownika Lawrence’a staje się władcą asyryjskiej i babilońskiej spuścizny.

Arabowie mają wreszcie swego rodzimego władcę. Świat muzułmański oddycha z ulgą, rząd brytyjski nie sie dla nowego państwa pomocą w postaci tymczasowego mandatu...

A w swym domu w Bagdadzie, szczupła, drobna Angielka uśmiecha się z zadowoleniem.

„Co to była za robota! Nigdy już więcej nie będę robić Króla!”

Najważniejszą pracę wykonała w wieku 48-50 lat. Nigdy jednak na tyle nie wyglądała. Była szczupła, drobna i wyszukanie ubrana — nie darmo stała się w Anglii i największym jej zmartwieciem było, gdy paczka na czas nie nadeszła!

„Pustynia znała ją dobrze, nigdy bowiem w najryzykowniejszych nawet wyprawach nie używała przebrania”.

„Miała „męski mózg”, ale patrzącemu na nią kobiecość pierwsza rzucała się w oczy. Miała piękne i proste podejście do mężczyzny, bo czuli się, że pozostaje zawsze wierną pamięci jednego człowieka, którego kochała...”

Tak opisuje Gertrudę Bell jej kolega z Bagdadu.

Stworzenie państwa irackiego nie zakończyło działalności Gertrudy. Wszystkie oficjalne czy prywatne sprawy dalej koncentrowały się wokół niej. Zostaje doradcą króla Faisala, który powierzył jej honorowe dowództwo pułku armii irackiej zwanego „The Khatnum’s own” („własność Khanum — Pani”).

„Omm al Mummin” — Matka Wiernych, tak zwano ją na dworze królewskim w Bagdadzie i nie było nikogo bardziej do niej przywiązanego jak młody książę następcy tronu — Emir Ghazi, którego Gertruda używała sama po angielsku, który spędzał czas w jej domu.

Jedną z prac powojennych, w której włożyła całą swoją energię, było zorganizowanie Muzeum archeologicznego. Ze względu na swoje badania w tej dziedzinie, nadawała się do tego jak nikt inny. Była to jednak ciężka i wyczerpująca praca. Mimo przykrego klimatu, zbywając prośby rodziny by wrócić wreszcie do domu, Gertruda doprowadza do końca swe dzieło, uwieńczając otwarciem w 1925 r. Muzeum Irackiego.

Zostaje honorowym dyrektorem starożytności w Iraku i dalej bez reszty poświęca się ukochanej pracy — aż strasznie gorące lato 1926 r. kładzie kres jej życiu. Umiera 12 lipca 1926 r. licząc 58 lat.

„Czuję, że dalej muszę pracować w Muzeum” pisze w swoim ostatnim liście do domu...

Król Faisal zmarł nagle w Szwajcarii w 1933 r. Następca jego Ghazi i zginął tragicznie w 1938 r. w wypadku samochodowym padając ofiarą, podobnie jak Lawrence’u ukochania pędu — szybkości, którą obaj wchłoneli w siebie z wiatru pustynnego. Zmienili się w Bagdadzie ludzie, zmieniły czasy. A jednak pamięć czynów Gertrudy Bell, jej zmagania i triumfów żyje na starożytnej ziemi mezopotamskiej. Pamięć kobiety, której silna wola, umiłowanie kraju i narodu stworzyły państwo i króla.

Zołnierz polski, gdy zajdziesz w pregi Muzeum Irackiego, stań u baczności przed skromnym pomnikiem i odczytaj słowa wyrze na tablicy

„Gertrudzie Bell. Jej pamięć Arabowie zawsze będą czcić i miłować. Stworzyła to Muzeum w 1925 r. będąc wówczas hon. Dyrektorem Starożytności w Iraku Wspaniała pracowitością i poświęceniem zebrała najbardziej wartościowe przedmioty i poprzez upalne lata pracowała nad nimi aż do dnia swojej śmierci 12 lipca 1926. Król Faisal i rząd Iraku z wdzięczności za jej czyny dla kraju zarządził iż główny pokój (w Muzeum) będzie nosił jej imię i za ich pozwoleniem przyjaciele jej tablicę tę ufundowali”.

Pamiętaj, że słowa te odnoszą się do niezwykłej kobiety, która pracę całego swego życia poświęciła dla narodu.

Aleksander Grobicki

ROZEZNANIE

Nie słowiczysz mi trelów
kłaskających po nocy —
nie bzu czadów dymiących
słodkiej, wonnej przemyocy —
nie jaskółczych mi lotów
zwinnej kołby kuszącej —
ale spojrzeń mi twoich
trzeba więzi gorącej!

Ani obłok na niebie,
zróżniony o wschodzie —
ani wodna lilija,
co przegląda się w wodzie,
ani źródła przeczyste,
wyzwolone z skał cieśni —
nie zastąpią mi jawy,
która z tobą się prześni...

Jedna smuga świetlista
zielnej mocy twych oczu —
jeden uśmiech wilgotny
w ust koralnym otoczu —
jedna iskrom podobna
żywość ruchu i giętkość
wystarczą mi za świata
cały urok i piękność.

Wiem, ce znaczy ta ciągła,
nieprzerwana upojność.
Wiem, co niesie mi uciecz
i niesytość i hojność...
Wiem, że wieńczy mi skronie,
żarem serce opłata
i z jesiennych zadumań —
wracać każe do lata...

Kazimierz Nałęcz

LISTY Z PODRÓŻY

DOLINA KRÓLOWYCH

A potem była Dolina Królowych, cudowna, zjawiskową świątynią królowej Hatsepsut — jakiejś Hełody, która wedle relacji Hasana była najpierw żoną swego brata, a potem żoną swego syna... To kto lubi... Dokonała pono takich niestetychanych podobojów, była mądra i potężna, trzęsła Górnym i Dolnym Egiptem i uważa, że należy jej się zato wspanialszy osobny grób. Ale kiedy umarła, tenże jej syn i mąż, kazał z nienawiści, na całym obszarze obu Egiptów, wszelkim jej podobiznom pozbierać twarze... Musiała mu ta wulgarca, matka i żona porządnie za przysługę zależeć! Ale świątynia była budowlaną Gust, bo babina miałał pod spiętrzoną nawisem złoto-różowych wierzchołków, spokojny, królewski i tym kolumnady, wrzynające się swoimi kondygnacjami w dziki chaos skał i osypiska piasków — jest tak majestatycznie, tak dobroczynnie harmonijny, że słów brak! Może to właśnie dzięki kontrastowi dzikiego tła z rafinowaną prostotą linii, wydobyciżo ten efekt? Nie wiem... To jedno wiem, że jest w tej świątyni coś, co się prawie wymyka wzrokowi, a co się już zaczyna wyłapywać słuchem jak muzykę...

Jakże bardzo musiał Ramzes II kochać swoją Nefertari! Jakżi wspaniały pałac przygotował jej białej białej! I niepodobna mu się dziwić: Nefertari jest cudna! W dzieńwach białych, przejrzystych szatach, lotnia, smukła, stąpa po ścianach swego grobowca. Do każdej ściany lepi się jej złoty, młodzieńczy profil, wpatrują się tu wszędzie niezliczoną ilość razy, bo królowa wędruje od sali do sali, od komnaty do komnaty, aż przez te, raz przez inną boginię, od jednego do drugiego boga, za rękę prowadzona... Kochał ją widać bardzo Ramzes II. Na wszystkich ścianach posagach kazał sobie stawiać koło łydki tę smukłą, ukochaną, kolana nie sięgającą lalczycę. Ją jedną zdaje się spotkał taki zoczyć. Nie pamiętam, aby inny katon podobnie wyróżnił żonę... Ramzes nawet więcej zrobił. Pozwolił jej raz, w posagu tej samej co mu wielkości, zasiąść obok siebie na tronie. Tkwią tak do dziś w karczekiej świątyni... Ale tu — w grobowcu — Nefertari jest już sama — jak rozbrajająca sama, wśród tych przesypanych bógów, o głowach szatach, bibisa, sępa czy byka, prowadzona — jak oni wszyscy zresztą, w ten dziwny świat śmierci, przez świętą, rozsypaną, zaśpiewaną żmję... Wzruszenie wgnania ją pod swe błękitne szeroko roztoczone skrzydła bogini prawdy Maat, której powieszono straż nad samym sarkofagiem białej, trwożnej, ukochanej libelli Hasana. — Ze wszystkich grobów Egiptu, ten jest stanowczo najpiękniejszy.

Nie zapytałam Hasana gdzie jest grobowiec Nefertitis — najpiękniejszy

szej kobiety świata — tancerki, wyniesionej do godności żony i królowej przez kapryśną miłość króla Akhmetona, tego heretyckiego króla, o najdziwniejszej, niepokojąco brzydkiej, kpiącej twarzy, z którym sobie kapłani poradzili w końcu wcale pomysłowo... Oto nasycili trucizną papirusy, z których król lubił odczytywać swoje heretyckie mądrości i Akhmeton, śliniąc palce przy przewijaniu ich, zatrzał się powoli, ale systematycznie.

I ma Dolina Królowych jeszcze inną swoją osobliwość. Nagle, wśród grobów samych królewskich kobiet — grób młodego księcia. Jeden jedyny między kobietami... Dlaczego? Miał Ramzes III ukochanego syna, Amenkhepshafa. Dziecko musiało być wale i od kołystki skazane na umarcie. Ponieważ był czymś mniej od faraona a więcej od nobla, przewidyjący najgorsze król zaczął mu budować grób tu właśnie, wśród królowych. Cudo nie grób, o ścianach pokrytych fryzem wyobrażającym nieszczęsnego ojca prosiącego o protekcję dla księcia u wszystkich bogów po kolei. Spieszył się bardzo, bo roboty mogły trwać tylko tak długo, jak długo przysły mieszkancie grobu żył. Z chwilą jego śmierci przerywano wszystko, w pół słowa... i mumia wprowadzała się do niewykończonego jeszcze grobowca. Ale tu się zdarzyło odwrotnie. Mieszkanie było gotowe, a nieboszczyk skrewił! Książę się wychował, przeżył ojca i panował. Od pierwszej chwili panowania, zaczął sobie oczywiście mościć nowy grób, tym razem już w Dolinie Królow, wedle własnego gustu i własnego o sobie mniemania... „Niedoszły” zaś grób zamurował — pusty. Tak mu się przynajmniej zdawało. Kiedy po tyśiącu lat odkryto ten grobowiec, znalaziono w sali, gdzie stał sarkofag księcia, w kacie, na ziemi, wetkniętą w kobiałkę z trzciny — mumię noworodka. Jakaś niewyjaśniona, tajemnicza do dziś historia. Leży tu jeszcze w kacie, mniejsze od mumii kota... Wygląda jak duży, uschnięty, zakurzony pajak. Wielka, smutna głowa wuliła się w badyle pokolnych nóżek i rączek, trochę powijaczy, kobiałka — i już. — A teraz pytam, kto dorobi historię tej mumijski? Kto wymyśli i opowie, jakim sposobem i dlaczego znalazła się w niedoszłym grobie młodego księcia i kto ją tu zdążył ukryć, nim zamurowano wejście? Bo że w tej zakurzonej kobiałce śpi epilog jakiegoś dramatycznego zawikłania — to więcej jak pewne. Możeby tak rozpiścić konkurs — co? Przedtem jednak należałoby jeszcze stwierdzić, czy to wszystko, co nam Hasan opowiada, ma jakąkolwiek historyczną podstawę. Tego bowiem nie jestem pewna.

Nie jest to jednak jedyna mumia na obszarze tej doliny. Trochę na uboczu, nad jednym z wejść zcer-

nije tablica z napisem „Grób nieznannej królowej”. Uśmiech, którym mi Hasan odpowiada na pytanie, jest w tej chwili bardzo podobny do tych uśmiechów, wśród których błąkam się od dwóch dni... Prowadzi nas na dół, ku wąskiej szczylinie w skałe i każe zajrzeć do wnętrza. W pierwszej chwili nie widać nic... Ciemno. Pusto. Potem spozstręga się na ziemi stos suchych badij i tyk... Jedne tędy, drugie tędy, pod sobą, nad sobą, jak popadło... Teraz u końca tych tyk znalazły się już głowy... Lyse opięte brunatną powłoką. A teraz już widać i zapadłe boleśnie jamy oczu i usta, otwarte czarnym, bezgłośnym krzykiem i zebra i piszczele... To płatnina smukłych, poczerwiałych — zsypanych beładnie, jak patyki w drewni — bezimiennych mumi! Boże dobry! Dlaczego tak? Nigdy nie pojme czemu, po tyśiącu — czy choćby po pięciu tyśiącach lat — uważa człowiek, że zyskał już prawo takiego traktowania czyichś szczątków? I gdzie jest granica? Od ilu wieków po Chrystusie dopiero, złołki człowieka zaczynają być uważane przez żywych za ludzkie zwłoki, a nie za mniej lub więcej interesującą — ciekawostkę? Tak. To prawda. Były nieprzezorne, że się same nie rozspyały w proch. Ale czyż ma się prawo karać je zato? Skoro się je wydtubało z ich grobów, rozpowiło z płócien i skoro nie ma z nimi co zrobić — trzeba było poprosi w piasek znów zakopać te bezbronne, bezimienne — przez nieśmiertelną jednak duszę zamieszkałe ongiś — badyle...

W osobnej dolinie, dalej trochę od królewskich, mieszczą się groby wielkorządców, regentów, ministrów i książąt. Grobowce te są mniejsze, o wiele płytsze od tamtych i nie tak rozgałęzione. Zasadnicza jednak różnica polega na czym innym. Faraonowie po śmierci zadawali się już tylko z bogami i malowidła w ich grobowcach przedstawiają przeważnie peregrynację, podczas gdy ziemskie ich życie i czyny rozplynęły się w niezrozumiałych znaczkach hieroglifów nikiąc z przed wroku śmiertelnika. Wgrobowcach noblów — przeciwnie. Mniej jest „tamtego” świata, a za to „ten” jawi się olśnionym oczom z całą drobiazgową, czarującą dokładnością. Czego tu nie ma? Winobrania, polowania, żniwa, uczty, polowy — wszystko aż mrowi się od zaśpiewanego ruchu, aż syczy wytężoną, owadnią pracą tych brunatnych, profilowych człowieczków. Parokrotnie zawsze od roboczego tłumu większa postać Nobla jawi się raz po raz wśród nich i hierze czasem czynny udział w ich pracach. Trudno laikowi rozróżnić, czy mowa tu o pracach na tym, czy na tamtym świecie, bo symbolika tak się tu gubi w realizmie, że się przenosi nie chwytą. Lecz mniejsza z tym... Nie to jest ważne w tej

chwili. Najważniejszy jest ten nieprzemyślany urok, naiwność i wdzięk, z jakim pradawny kamień opowiada o pradawnych pracach, urodzajach, dobrobycie, radościach, szczęściu... Parę takich okrucich przylepiło mi się wyraźniej do pamięci...

...Oto wielkorządca Sen-Nazan i jego żona Ai-Nefert — oboje biali i przejrzysti — weszli po pas w tan dojrzalego zboża. On ścina błękitnym sierpem wąsate kłosy — same kłosy — a ona zbiera je do koszyka...

Tam znów, na jednej z ścian grobowca Meny, cała jego rodzina wybrała się na polowanie... Wbiła się wąską łodzią w kępę trzciny i wypłoszyła chmurę kolorowego ptactwa. Podesza gdy inni polują, smukła, naga dziewczyna, przesłannie żywym ruchem, wychyla się z łodzi, by zerwać tilię wodną. Jeszcze jej dotąd nie zerwała...

A indziej znowu Sen-Nefer i jego siostra Meryt. Stoją oboje pod granatowym dachem winnych gron, a kapłan w lamparciej skórze, kropi ich świętą wodą nie wiem, czy dlatego, że im gorąco, czy dlatego, by ich oczyścić przed złożeniem darów, które przynieśli... Trochę dalej, na innej ścianie, tenże sam Sen Nefer siedzi sobie w cieniu świętego drzewa i popija wino, podczas gdy klecząca pod jego krzesłem jego małutka żona zachłannym ruchem brunatnych łapią opłotta ma nogę. Pan ten trzyma przy ustach ledwo rokwitły kwiat lotosu. Może go wacha... Wygląda to jednak tak, jakby rozmawiał z kimś przez telefon...

I jest tu jeszcze jeden taki z kwiatem lotosu. Ramosa! Przekudny, młody, aksamitno oki Ramosa! Profil jego — najpiękniejszy chyba ze wszystkich — jawi się na tych ścianach zawsze w pobliżu lotosów i tak mi się dzięki temu zrost w myślach z tym świętym kwiatem, że nie wiem już w końcu, czy dusza lotosu ma twarz Ramosy, czy Ramosa ma lotos zamiast duszy?... Trzymaj go mocno za ramię piękna Pthamerty, trzymaj go dalej tak, jak go trzymasz od tyśiący lat, bo ci się gołów rozwiad pod rękami, tak wywierzeć i utłonić, jak zapach jego świętego kwiatu...

Nie! W grobowcach noblów nie czuje się wcale śmierci. Zbyt wiele miejsca odstapiono żywemu życiu, na tych ścianach. Zbyt barwnie się je tu wspomina. Ale czyż można się dziwić? Takie to wszystko u tych czerwonych mrówek było mądre, celowe, pomysłowe, takie bujne, syte, dostatnie! I takie mnóstwo wszystkiego! Te złote góry zboża, te putnie granatowe od winogron, te sieci pełne szmaragdowych ryb i sidła tężowe od paktwa!

Bardzo dziwnie robi się człowiekowi, kiedy patrząc na te cuda uświadomi sobie nagle, że wszelka ta bujność, te kolory i to rozsypane pracą i radością życie — ma dziś nad sobą Dolinę Śmierci i że, aby się ostać takim, jakim było, musiało się schronić — w grobowce...

(c. d. n.) Beata Obertyńska



NA JENCÓW WOJENNYCH
Ppor. W. S. w czwartą rocznicę ślubu 5 I. D.
N. N. 0.500 I. D.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

M. T. S. Dziękujemy za list i owelkę. Nie możemy jeszcze zapewnić, czy z niej skorzystamy, ale przeczytaliśmy z przyjemnością. Trochę to literacko za mało zwarte, są dłużyzny i powtarzanie, ale szczerze i związane rzeczywiście z żołnierskim życiem.

Aleksander Z-ski. Dziękujemy za artykuł, z którego jednak tym razem nie skorzystamy.

Judyń. Dziękujemy za nowe wiersze. Pański talent wciąż nas bardzo interesuje, ale mamy wrażenie, że Pan rzeczy napisane nie zawsze czyta, stał obok fragmentów prawdziwie poetyckich niedociągnięcia. Wydrukujemy zapewne „Cienie”, albo „Niedokończony refleks”.

Strz. Ant. K-ski. Pismo Pana przekazaliśmy, zgodnie z życzeniem Szefowi Wydz. P. i O.

D. T. R-ski. Dziękujemy za przesłane wiersze, z których „Do boju” mieliśmy już poprzednio. Pomimo szczerości i szlachetności uczuć, forma poetycka nie pozwala na ogłoszenie tego w druku.

Halina Cz. Teheran. Dziękujemy za artykuł sprawozdawczy i za wywiad. Ten ostatni już się ukazał gdzie indziej, natomiast no taką informacyjną chętnie zamieszcimy.

Mgr Edw. K. Dziękujemy za list i przesłane materiały. Zamierza-

my skorzystać z ciekawego artykułu o Polakach w Turkiestanie, resztę przekazujemy zgodnie z życzeniem. Z tych frazsek nic nie wybraliśmy, ale nie zrzekamy się na przyszłość. Honoraria placimy wszystkim autorom z wyjątkiem oficerów w służbie czynnej i urzędników wojskowych.

Łucjan P. Dziękujemy za wiersz „Kielich goryczy”. Dobrze się zaczyna, ale dalszy ciąg nam nie odpowiada.

Sylwan. Dziękujemy za list i przesłane utwory. Impresja jednak zbyt pozbawiona treści, a wiersz na ten temat musiałby być bardzo mocny, aby go nie zabijało porównanie.

St. uł. T. ad. W. Dziękujemy za artykuł „Wiatr z Kazachstanu”, ale mimo słusznej intencji forma za mało przekonywująca.

Pchor. B. Zn. Dziękujemy za list i miłe wyrazy. Tamte rękopisy odsyłamy wedle Pana życzenia.

RADIO BAGDAD

Radio Bagdad Fala 42,3 m.

18. VII. Niedziela godz. 19 — 19,20

1) Dziennik radiowy 2) Chopin.

Koncert f-moll — cz. II i III (Larghetto i allegro vivace).

19. VII. Poniedziałek godz. 19 — 19,20

1) Dziennik radiowy 2) Płk dr

Z ostatniej chwili

NOWY RZĄD

London, 15. VII (Reuter). — Agencja Reutera podaje, że wczoraj ogłoszono oficjalnie w Londynie nowy skład Rządu R. P., pod przewod-

E. T. Burke. „Słońce — wróg nr 1”.
3) N. Oleńska i St. Ruszala. — groteska radiowa.

20. VII. Wtorek godz. 19 — 19,20
1) Dziennik radiowy 2) Tygodniowy przegląd wydarzeń w oprac. Z. Raciejskiego 3) Zofia Terne. Piosenki, akomp. A. Schutz.

21. VII. Środa godz. 19 — 19,20
1) Dziennik radiowy 2) Koncert orkiestry wojskowej pod dyrykcją H. Warsa. W programie muzyka jazzowa.

22. VII. Czwartek godz. 19 — 19,20
1) Dziennik radiowy 2) Dr Ludwik Tyśmienicki „Żołnierz polski na czterech kontynentach” 3) Muzyka i piosenka.

23. VII. Piątek godz. 19 — 19,20
1) Dziennik radiowy 2) Z cyklu Wiedza i Życie — inż. F. Lachman — „Wielka uczona polska — Maria Curie Skłodowska” 3) Fragment z „Pana Tadeusza”.

24. VII. Sobota godz. 19 — 19,20

1) Dziennik radiowy 2) O czym się mówi i pisze na świecie w oprac. M. Romana 3) Pogadanka religijna 4) Nokturn F-dur Chopina.

nietwem Stanisława Mikołajczyka, jako prezesa Rady Ministrów.

W skład Rządu wchodzi:

Stanisław Mikołajczyk — prezes Rady Ministrów
Jan Kwapiński — wicepremier oraz minister handlu, przemysłu i żegluga

Amb. Tadeusz Romer — minister spraw zagranicznych.

Gen. Marian Kukiel — minister obrony narodowej.

Władysław Banaczyk — minister spraw wewnętrznych.

Prof. dr Stanisław Kot — minister informacji i dokumentacji.

Dr Ludwik Grossfeld — minister skarbu.

Jan Stańczyk — minister pracy i opieki społecznej.

Prof. Wacław Komarnicki — minister sprawiedliwości.

Marian Seyda — minister stanu — kierownik prac przygotowawczych na konferencję pokojową.

Karol Popiel — minister stanu — kierownik prac planowania przyszłej administracji Kraju.

Ks. prałat Zygmunt Kaczyński — minister stanu — kierownik biura oświaty.

Henryk Strasburger — minister stanu na Sr. Wschód.

Anglia za Powstanie
Niezależności

(Dalszy ciąg z nr 27)

Donosząc o stanowisku rządu angielskiego do Warszawy, polscy wydawcy informowali Rząd Narodowy, że Anglia wobec niepokojów politycznych we Francji nie chce słyszeć o żadnym przeciwstawianiu się Rosji, gdyż mnsi liczyć się z tym, iż w niedalekiej przyszłości — podobnie jak w okresie Napoleona — będzie potrzebowała pomocy Rosji dla uporządkowania ruchów rewolucyjnych na kontynencie i zagwarantowania Europy spokoju.

Skoro tak rozumowali politycy angielscy, nie mogli mieć nic dobrego do powiedzenia wysłannikom polskim. W odbytych rozmowach politycznych usłyszeli oni przede wszystkim przestrogi, by Polska, którą nad Tanią zawsze uważano za naturalną sojuszniczkę Francji, nie dała się wciągnąć w politykę francuską i jej ruchy rewolucyjne i nie stała się „provincją francuską nad Wisłą”.

Ozólnie biorąc whigowski rząd nie był Polsce nieprzychylny, ale odmówił angażowania się w ryzykowne powstanie polskie wobec: 1) trudności politycznych we Francji i Belgii, 2) trudności wewnętrzno-politycznych, związanych z wielką reformą wyborczą, „The Reform Bill”, oraz 3) niewiarą, jaką żywił Londyn — podobnie jak i Paryż — w powodzenie powstania wobec przeważających sił rosyjskich. W Anglii więcej może niż gdziekolwiek sądzono, że powstanie polskie to rodzaj jakiegoś buntu wojskowego, który potężna Rosja z łatwością potrafi zlikwidować. Wpływ na wstrętność rządu angielskiego musiał

mieć niewątpliwie także fakt, że Prusy i Austria zajęły w stosunku do powstania tak zdecydowanie wrogie stanowisko.

W niektórych wpływowych kołach politycznych, zwłaszcza konserwatywnych, powstało niechętnie nastawienie do powstania na te poglądów społeczno-politycznych. Uważano bowiem powstanie polskie za przejaw tych samych dążeń społeczno-rewolucyjnych, które szczyły radykalne koła francuskie Rewolucji Lipcowej. Zdawano sobie sprawę w Londynie, że wybuch Powstania Listopadowego uchronił rewolucję francuską i belgijską przed interwencją rosyjską — ponadto powstanie polskie nie pozostało bez wpływu także na demokratyzowanie prawa wyborczego w Anglii.

Premier Grey chcąc przeprowadzić reformę parlamentarną stronictwa liberalów, dla złamania oporu króla Wilhelma i nie dopuszczenia zamierzonego przez niego rozwiązania Parlamentu, w argumentacji swojej powołał się na powstanie polskie, jako na przejaw ducha czasu, który powinien przestrcze króla przed upieraniem się przy skrajnie konserwatywnych zasadach. Król ustąpił wobec nalegań Grey'a, lecz w rozmowie z ambasadorką Lieven powiedziała: „Nie może pani więcej pragnąć auzteżi ja zwycięstwa waszego cesarza, albowiem dotyczy ono mnie bardzo blisko.”

Te fałszywe uprzedzenia do powstania, jako do ruchu społecznie wyrotowego, były podsypane raportami ambasadora Heytesbury z Petersburga, oświatającego stosunki

i ludzi Królestwa Kongresowego jednostronnie. Jako konserwatysta, odczuwał on zasadniczą niechęć do polskich ruchów wolnościowych, przedstawiał je w najciemniejszych barwach idąc za naświetleniem władz rosyjskich. On to raportami swoimi przemilczającymi zwycięstwa wojsk powstańczych przyczynił się do ugruntuowania w Palmerstonie niewiary w powodzenie powstania i przekonania o niecelowości interwencji dyplomatycznej.

W Warszawie mimo wszystko nie tracono nadziei na pomoc Anglii. Prezes Rządu Narodowego książę Adam Czartoryski wysłał do Londynu jednego z najlepiej ustosunkowanych w Anglii Polaków — J. Ursyn Niemcewicza, który został przyjęty jako oficjalny przedstawiciel dyplomatyczny polskiego Rządu Narodowego. Ludzono się wciąż w Warszawie, że po zwycięstwach wojsk powstańczych pod Grochowem, Wawrem, Dębami Wielkimi i Iganiami, rządy angielski i francuski zmienią swój obojętny stosunek do powstania i dadzą Polsce pomoc.

Rzeczywiście w Petersburgu na polecenie rządu angielskiego ambasador angielski interweniował na rzecz Polski składając oświadczenie, że Anglia jako sygnatariuszka traktatu wiedeńskiego i gwarantka Królestwa Kongresowego, nie uzna żadnych zmian niezgodnych z przepisami traktatu wiedeńskiego. To demarche ściśle dyplomatyczne, podyktowane było nie tyle może sympatiami dla Polski i chęcią dopomożenia jej w konflikcie z Rosją, ile przede wszystkim koniecznością obrony własnego prestiżu angielskiego. Chodziło o obronę zasad traktatu wiedeńskiego wspólnie z takim trudem ustalonych.

Propozycja francuska — rządu premiera Perier i Talleyrand'a, ambasadora w Londynie — ażeby wspólnie Francja i Anglia interweniowały w obronie Polski u dworu petersburskiego, została przez rząd an-

gielski odrzucona, gdyż Anglia Francji nie ufała i w niczym nie chciała przyczynić się do wzmocnienia jej stanowiska na kontynencie. Powtórzyła się więc sytuacja z okresu I rozbioru.

W drugiej połowie 1831 r. reprezentował Polskę w Londynie Julia Ursyn Niemcewicz, który dzięki osobistym swoim stosunkom i wielkiemu poważaniu w angielskim świecie politycznym zachował nawet po upadku rządu Narodowego swoje stanowisko polskiego oficjalnego przedstawiciela dyplomatycznego. Miał on w społeczeństwie angielskim bardzo dobrą pozycję; był lubiany i ceniony. Zawdzięczał to swojej dawnej doskonałej znajomości stosunków angielskich. Znał miejscowe zwyczaje i władał dobrze językiem angielskim, miał dobrą prezencję, którą zjednał sobie Anglików, przywiązującą wagę do form zewnętrznych. Społeczeństwo angielskie pamiętało Niemcewicza jeszcze z dawnych lat, kiedy po uwolnieniu Kościuszki z więzienia w Schlüsselburgu przebywał razem z nim w Anglii jako jego najwzajemniejszy towarzysz i przyjaciel. Niemcewicz był wtedy świadkiem owych owacyjnych przyjęć, którymi społeczeństwo angielskie witało u siebie bohatera polskiej walki niepodległościowej, uznanego powszechnie w Anglii za najwzajemniejszy symbol walki o wolność. Był więc Niemcewicz świadkiem tych wzruszających chwil, kiedy przedstawiciele społeczeństwa angielskiego wręczali Tadeuszowi Kościuszce niekorową szablę, był świadkiem serdecznej przyjaźni okazywanej mu przez Fox'a, przywódcę stronnictwa liberalów oraz przez historyka i polityka James Mackintosha, któremu Kościuszko tłumaczył że: „Nie, Polacy nie poddadzą się z własnej woli jarzmu cudzoziemców, albowiem ich charakter zbyt się różni od charakteru ich sąsiadów.”

(d. c. n.)

Jan Szułdrzyn